Nr. 9. Lwów, dnia 1. Września 1893. Rok XVI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z zatargów rodzinnych i z ekonomii łowieckiej.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

VIII.

Omawiając warunki siedliskowe zwierzostanów, nie podobna pominąć systemu gospodarki leśnej, który swego czasu napotkawszy na wiele przeszkód i trudności, przebił się wreszcie zwycięsko, znalazł wielu stronników w teoryi, a co więcej, korzystne w praktyce zastosowanie (np. w dobrach arcyks. Albrechta, księcia Karola Schwarzenberga, w lasach miejskich w Pisek w Czechach, i w niektórych naszych kniejach). Mam tu na myśli system H. Cotty, jednego z wielkich techników leśnych, odważnego reformatora, którego genialny pomysł wprowadzenia do lasów uprawy rolnej, zmniejszył już tem samem szkodliwość zwierzostanów dla lasów i obcej kultury agrarnej

Po raz pierwszy pomysł ten pojawił się w r. 1817 w dziele: „*Die Verbindung des Feldbaues mit dem Waldbaue*“. Drukowano go w 12 lat po śmierci autora w r. 1856 w 8-mem wydaniu. Już sam ten fakt mówi wiele o rzeczy. System ten, dla stosunków czeskich o wiele zmodyfikowany i ulepszony przez radcę leśnego Liebicha, coraz to szersze znachodzi zastosowanie.

Nie zawsze i nie wszędzie topografia, klimat, stosunki agronomiczne i socyalno-ekonomiczne dozwoliłyby na zastosowanie tego, ze wszech miar gdzieindziej genialnego pomysłu. Podaję tu w krótkości istotę systemu Cotty, gdyż pomimo, iż pierwotną myślą Cotty nie kierował wzgląd na łowiectwo, przedstawia on dla tegoż nie mały interes, zwłaszcza dla łowiectwa przyszłości, w którym coraz to groźniej pojawiać się muszą ujemne strony zwierzostanów.

Zręby, z których drzewo wraz z pniakami odrazu usunięto, a który to sposób uciążliwą pracę korczowania ogromnie ułatwia, poddaje się 3—4 letniej kulturze rolnej, z zastósowaniem doboru ziemiopłodów rolnych do dawnych stosunków miejscowych. Wielką tu rolę odgrywa uprawa właśnie tych roślin, które specyalnie uprawę na ziemiach korczunkowych opłacają. Częstokroć plony takich specyalnych amatorów ziem korczunkowych (n. p. prosa) są tak znakomite, iż przewyższają najświetniejsze wyniki uprawy na najlepszych i obficie znawożonych polach, tem bardziej, że odpada tu zupełnie plewienie. Po uprawie rolnej zostają powierzchnie

te obsadzone 4—5 letniemi sadzonkami ze szkółek, albo uskutecznia się siew z ręki wraz ze zbożem w ostatnim roku uprawy rolnej. W ostatnim razie unika się wprawdzie kosztów utrzymania szkółek i kosztów kultury, traci się jednak na czasie i wystawia na większe niebezpieczeństwo zapusty. Przeciwnie przy kulturze sadzonkami, oprócz zysku na czasie, skraca się o wiele peryod możliwych szkód, gdyż kultury takie wnet, jak to mówią „uciekają pyskom“, a rolna kultura wśród lasu staje się zarazem przez długi okres roku konduktorem niebezpieczeństwa lasu, a zarazem niemałem źródłem intraty, skąd też koszta kultury i szkółek czerpać się dadzą.

Taką jest główna zasada pomysłu Cotty, pomysłu, który nietyle jest inwencyą, ile genialnem ocenieniem tego, o już dawno przez lud w górskich okolicach było praktykowane, i podniesieniem znanej, lecz w bardzo prymitywny sposób wykonywanej praktyki do wysokości racyonalnego systemu.

Według oceny fachowych leśników korzyści materyalne, jakie dla właściciela lasu z zastósowania tego systemu wypływają, są bardzo znaczne, bo koszta kultury wynoszą li tylko $^1/_3$ część osiągniętych zysków, nie biorąc w rachubę nadwerężenia uprawą rolną stanu żyzności ziemi leśnej i uszczuplenia rzekomego następnej produkcyi drzewa. *(Die Forstwirthschaftslehre L. Grabner 1866 P. 361.)* A plama to niemała, plama do tak ogromnej wielkości podniesiona w doktrynerskiej polemice, jaką swego czasu wywołał system Cotty, iż zdolna według zdania przeciwników zamazać wszystko, coby tam mogło być dobrego.

Zaprzeczyć się nieda, iż żywność roślinna, jaką z roli wyczerpały ziemiopłody, jest absolutnym ubytkiem jej zapasów, niezawodnie zatem, iż cierpią tu prawidła statyki, ale czy cierpi również o tyle następna kultura lasu, iż korzyści, osiągnięte w tym systemie z uprawy rolnej nie dościgną strat i ubytków w przyroście następnym drzewa? — to pytanie, na które odpowiedzieć może tylko ścisłe badanie i doświadczenie lokalne, gdyż rozumowanie na podstawie naukowej może, jeżeli nie zmniejszyć, to zupełnie usunąć obawy strat, które tylko ten widzi, kto się ich boi.

Leopold Grabner, stojąc długie lata u steru zarządu ogromnych lasów księcia Liechtensteina i znając w praktyce system połączonej kultury, tak się wyraża w swem dziele o leśnictwie na str. 301: *Obwohl es an vergleichenden Resultaten über den Holzvorrath und Zuwachs solcher Bestände zur Zeit noch fehlt, so ist viel ausser Zweifel, dass auf kräftigem Boden, wie er für diese Nutzung bedingt ist, ein Zuwachsverlust wegen verminderter Bodenkraft nicht eintritt, vielmehr die jungen Holzbestände in Folge der Bodenlockerung und Aufschliessung der mineralischen Bestandtheile den üppigsten Wuchs zeigen, in Folge dessen in kurzer Zeit auch der Humusgehalt des Bodens durch die reichlichen Baumabfälle wieder hergestellt wird.*

Po naprowadzeniu słów tak popularnego nawet u nas autora, sądzę, iż krótka a bezpretensyonalna pogadanka o teoryi przedmiotu, obchodzącego również tak blisko i świat łowiecki, będzie tu na swojem miejscu.

Oprócz wyczerpania ziemi plonami, ma tu miejsce również i wyczerpanie wskutek uprawy mechanicznej i wpływu oświetlenia, mianowicie wyczerpanie związków lotnych pożywienia roślinnego. Notując jednak tak skrzętnie debet w rachunku statycznym, należy zwrócić uwagę i na stronę odwrotną i wypełnić tam, co się jej należy. Wiekami nagromadzona ściółka leśna jest naturalnym nawozem, jaki las sobie urabia; następuje tu wzbogacenie ziemi tylko tem, co roślina drzewna z atmosfery przyswoić sobie zdołała. Co się zaś tyczy substancyj mineralnych, to drzewo, jak każda inna roślina, jest skazane wyłącznie na ziemię i z niej czerpie najrozmaitsze połączenia mineralne, nawet z bardzo głębokich warstw, w których się one wyrabiają, w stanie rozpuszczalnym, bądź pod wpływem czynników zwietrzenia, bądź pod chemicznem działaniem włoskowatych kor eni i tychże wydzielin.

Ściółka leśna w rozmaitych położeniach i warunkach rozmaitemu podlega rozkładowi; w jednym postępuje on bardzo szybko, a ziemia jest niemal zawsze ogołoconą, w innych znów rozkład wskutek cienia i nadmiernej wilgoci, a zatem i braku powietrza, wolniej do tego stopnia, iż ziemię lasową pokrywają grube warstwy liścia, w których proces humifikacyjny bardzo zwolna postępuje. Rzecz łatwo zrozumiała, iż jeżeli chodzi o insolacyę i przewietrzenie roli, to uprawa mechaniczna jest w tym celu najlepszym środkiem. Po kilku latach uprawy przemieniają się nawet grube warstwy leśnej próchnicy w rozpuszczalną żywność roślinną, a to co przy powolnym rozkładzie ściółki leśnej ulotnić się musi, chłonie mechanicznie uprawiana ziemia. Wprawdzie ziemia ta oddaje roślinom rolnym w tym systemie znaczną część swej nawozowej siły, jednak kultura rolna w 3 lub nawet 4 latach nie może ogołocić warstw górnych z bogactwa, jakie się tu w ciągu wieków i teraz wskutek rozkładu przyspieszonego nagromadziły, zwłaszcza, gdy obfitość organicznych połączeń wpływa również przyspieszająco na przygotowanie pokarmów mineralnych, które bez tego czynnika pozostałyby nadal w stanie nierozpuszczalnym, a zatem w stanie bez żadnego znaczenia dla jakiejkolwiek wegetacyi.

Niezliczone razy doświadczamy w praktyce ziemiańskiej, iż bardzo piękny plon dają nam korczunki jeszcze w czwartym roku uprawy, a chodzi tam głównie o produkcyę ziarna; zanadto zatem skrupulatnemi byłyby obawy, aby rośliny t. j. młode drzewka, gdzie chodzi o produkcyę drzewa, do którego wytworzenia służą w wielkim zakresie zasoby z atmosfery czerpane, cierpieć mogły wskutek braku pożywienia w ziemi. Powiem tu, u schyłku XIX-go stulecia zgodnie z przestarzałym już dziś Grabnerem, iż właśnie owemu przyspieszonemu uprawą mechaniczną rozkładowi i przewietrzeniu ziemi zawdzięczać należy dobre wyglądanie kultur, dokonanych na uprawianych korczunkach. Po kilku latach kultury te, a właściwie korzenie ich, u większości gatunków drzew, już niemogą korzystać z warstw górnych i dążą głębiej, gdzie również działające czynniki w laboratoryum natury pracują nad przygotowaniem rozpuszczalnej żywności roślinnej. Cóż więc my, żyjący przeszło pół wieku po odkryciach Bromera, Thomsona, Waya i Liebiga na polu resorbowania związków żywności roślinnej przez ziemię, mamy się przestraszać, iż 3 4 letnią produkcyą zboża na ziemi lasowej zagrażamy przyszłości!

Kończę też me uwagi przekładem słów znanego zawodowca o tym przedmiocie: „Usprawiedliwionym jest system uprawy zbóż w lesie, jeżeli przynosi hodowli lasu niewątpliwe korzyści, a ma to miejsce wtenczas, gdy się go używa jako taniego i skutecznego środka uprawowego. Z pomiędzy wszystkich pobocznych zysków, jakie rolnictwo mieć może z lasu, jest uprawa rolna najlepszą, ponieważ osiąga się tu dokładne spulchnienie ziemi, ubytek przyrostu niema tu miejsca i następuje zaraz ochrona i zacienienie czystej

powierzchni zrębu. Uprawy jednak rolnej nie trzeba rozciągać dłużej jak co najwyżej na dwa lata“ *(Die Forstbenützung Karl Gayer Berlin 1893. P. 512 513.)*

Nie wszędzie urządzenie wygodnych siedlisk i racyonalna hodowla zwierzostanów wytwarzają stan niczem niezakłuconego pokoju, bo zbyt często i wobec dostatku pożywienia, zwierzyna próbuje zakazanego owocu, zmuszając do użycia bezpośrednich środków ochronnych. Że coś podobnego w danych warunkach do ostatniej może doprowadzić pasyi, że może zniechęcić — to nie dziwota, lecz ochłońmy z chwilowego rozdrażnienia, bo w bezpośrednich ochronach leży cały arsenał mniej lub więcej skutecznej broni i niezerwane są jeszcze ostatnie nici.

Kto zaraz z początku, gdy się szkody pojawią, użyje środków bezpośredniej ochrony, ten z pewnością źle na tem nie wyjdzie, bo nieutrwalony w szkodliwości zwierz, u którego nałóg szkodliwy nie urósł jeszcze w drugą naturę, byle czem da się utrzymać w znośnych dla lasu szrankach. Jak zmienne są gusta i zwyczaje zwierza, tak rozmaitą bywa i działalność bezpośredniej ochrony; dlatego też rozmaite środki, jakie po dziś dzień są w użyciu, mają bardzo względną wartość lokalną lub czasową, a bezwzględne zalecanie i ocena tychże są niepodobne, nim próby na małą skalę nie dadzą stanowczej odpowiedzi.

Że krom kosztownego choć radykalnego środka ochrony, jakiemi są ogrodzenia, żaden z innych środków nie może sobie rościć pretensyi do absolutnej skuteczności, najlepszy dowód tego stanowią coraz to nowsze sposoby, wzbogacające bezustanku już i tak bardzo bogaty katalog odnośnych remedyów. Wymieniam tu tylko ważniejsze i częściej w użyciu będące jak: straszaki, fladry piórowe, smarowanie kultur mazią pozyskaną przy destylacyi nafty i najrozmaitszemi mieszaninami odraźliwego smaku i woni.

Jedne z tych sposobów są już do pewnego stopnia wypróbowanej wartości, inne przechodzą dopiero ogniową próbę doświadczenia, i o ile należą do ostateczności, której chwycić się należy, o tyle są bardzo ważne, przemieniając rozpaczliwe uczucie bezsilności w ból, dający się wyrazić w pewnej sumie monety. Że nie wszystkie mazie i smarowidła są możliwe do użycia we wspomnianym celu, to leży już w naturze tych substancyj, a nieoględność w tym kierunku mogłaby się stać wprost szkodliwą i prawdziwie niedźwiedzią przysługą, uszkodzającą kultury gorzej niż zwierzyna. Za daleko by mię zaprowadziło cytowanie najrozmaitszych prób z takiemi środkami, dlatego powołać się muszę na szczegółowe sprawozdania w tym względzie w peryodycznych pismach zawodowych, wspominając tu jedynie, iż koszt wykonania tej ochrony wynosi na morgu około 1 zł. (*Sylwan* 1883 str. 315 316).

Sprawiwszy się tak szybko z przedmiotem, który zawsze jeszcze nie schodzi z porządku obrad w kołach fachowych, wyrządziłem i sobie przyjemność pewną, bo przyznam się, że zawsze wstrętną mi była ta kwalksalberya w kniei. Nawet gdyby użyte smarowidło wolnem było od wprost szkodliwych przymieszek, to każde tamuje mechanicznie przypływ powietrza do posmarowanych części rośliny i w ten sposób podkopuje życie organizmu.

Sposób ochrony kultur bardzo niewinny, tani i łatwy, gdyby tylko tak użyteczny jak go wychwala *Deutsche Forstzeitung* z r. 1891, polegać ma na obwieszaniu wierzchnich pędów rozskubanym kłakiem. Ma to chronić „w zupełności“ (?!) rośliny od uszkodzeń, gdyż zwierzyna odczuwa pewien wstręt do pobierania żywności z taką domieszką. Nie miałem sposobności widzieć w praktyce tego sposobu ochrony, który wzmiankowana gazeta nazywa „znakomitym i najtańszym“ (koszta wynoszą $2^1/_2$ zł. na hektar), więc zwrócić mogę tylko teoretycznie uwagę, iż nie może być on zbyt łatwym w wykonaniu, a wiatr i ptaszki udaremnią zbyt prędko choćby jaką taką jego skuteczność.

Niezliczone już robiono próby smarowania kultur mieszaniną, której przeważną częścią składową była krew bydlęca, gdyż użycie samej krwi okazało się niepraktycznem, bo pierwszy deszcz opłukiwał wszystko. Mieszanina krwi, krowieńca i gliny okazała się na słoty wytrzymałą i chronić miała nawet najponętniejsze kultury od uszkodzeń (akacyę). Mieszanina ta składać się powinna z 60% krwi, 20% gliny i 20% krowieńca, a użycie jej podobne jak u wszystkich innych tego rodzaju środków. Sprawozdawca (Jelinek, *Aus unseren heimischen Wäldern)* w samych superlatywach wychwala ten środek, a wreszcie utrzymuje, iż chroni on kultury tak, jakby je słomą poobwiązywał.

Każdy niemal numer fachowych czasopism przynosi jakieś nowe doświadczenia i sprawozdania prób w celu bezpośredniej ochrony kultur. Udowadnia to z jednej strony dotkliwość szkód, z drugiej zaś dowodzi, iż dotąd radykalnego i pewnego sposobu niema, i cała praktyka w tym kierunku znajduje się ciągle na drodze eksperymentów mniej lub więcej udałych. Jest rzeczą pewną, iż początkowo byle jaki środek ochronny, jak każda nowość skutkuje silniej, potrzeba jakiegoś czasu nim się zwierzyna z tem obędzie, chwilowo ustają szkody, a uszczęśliwiony wynalazca zaleca go publicznie nie szczędząc pochwał. Gdyby się rzecz miała inaczej, i niezliczone zachwalania oparte były na realnych podstawach, to zanadto banalną byłaby rozprawa o bezpośrednich ochronach kultur zapomocą smarowań tym lub owym środkiem.

Na zachodzie, gdzie kwestya szkód polnych w obec silnych zwierzostanów, osobliwie jeleni, nabrała już wielkiego znaczenia, próbowano i próbują jeszcze ciągle rozmaitych sposobów, aby uniknąć kosztownego ogrodzenia, a powstrzymać zwierza w wychodzeniu na okoliczne pola. Jakkolwiek jestem przekonany, że żaden z tych w całym tego słowa półśrodeczków nie jest w stanie powstrzymać zwierza w obrębie lasu, to wspominam o nich jedynie dlatego, że jeden z wielu mógłby może znaleźć zastosowanie w praktyce choćby tylko w celu chwilowego przetrzymania zwierza w pewnych partyach kniei. Mówię to nie z własnego przeświadczenia, lecz powtarzam tylko zdania innych, bo osobiście zachwiany jestem w wierze co do znaczenia owych środków ochrony od czasu, gdy spróbowawszy raz najbardziej zalecanego, który miał utrzymć bydło w granicach pastwiska tj. wilczej skóry, stałem się mimowolnie moralnym sprawcą znacznej szkody. Wszystkie one, zdaniem mojem są równie tanie jak bezskuteczne. Gdy mię jednak tak fatalnie zawiodła powłoka ze świeżej wilczej skóry i stado bydła porozłaziło się wśród chłopskich pros, to możeby powstrzymał zwierza środek inny, którego jednak nie miałem czasu ni sposobności wypróbować, a który bardzo zaleca poważny *Centralblatt f. d. gesammte Forstwesen 1891.* Oto szmaty rozmaitego rodzaju moczy się nieco, posypuje prochem, następnie włożywszy je w beczkę o wybitem dnie, nad którem w 30 cm. wysokości urządzony jest z patyków rodzaj rusztu, gdzie się szmaty wspierają, ustawia się beczkę dnem wybitem na ziemi, poczem zapala się pod nią kilka garstek prochu w ten sposób, aby dym o ile możności przeniknął szmaty. Następnie zaprawia się dno i wszystko zostawia się przez kilka

godzin w spokoju. Szmaty wydobyte z takiej beczki i porozwieszane na linii, której zwierzyna ma nie przekroczyć, służyć mają przez 14 dni najlepiej do zamierzonego celu. Od siebie chyba tylko „Amen“ dodać mi wypada.

Pomimo, iż nawet poważne strony i takaż literatura fachowa bezustannie zajmują się jeszcze omawianiem podobnych środków, ogradzanie rewirów we wszystkich miejscowościach, gdzie się tylko znachodzą silniejsze zwierzostany jeleni i danieli, jest jedyną poważną ochroną. W przeciwnym razie zwierzostany są ciągłą zmorą dla właściciela kniei, zmorą trapiącą ciągle w formie słusznych, a co gorsza, także w formie urojonych pretensyj.

Ponieważ u nas ród sarni, najmniej jeszcze dla okolicznych pól niebezpieczny, zastępuje inne gatunki zwierząt szkodliwych dla uprawy rolnej, a jest przytem niebezpiecznym dla lasów szkodnikiem, musi się w naszych stosunkach tem baczniejszą na las zwracać uwagę, i przy znacznych zwierzostanach sarn, gdy wszelkie sposoby ochrony zagajeń i kultur nie wystarczają, uciec do kosztownych ale radykalnych ogrodzeń wewnątrz lasu.

Silne zwierzostany, jakie utrzymują w lasach magnackich na zachodzie, postawiły właścicieli, jak powiada jeden ze znanych myśliwych i prawdziwych znawców przedmiotu, wobec bardzo przykrej alternatywy. Zwierzostany te musiały albo uledz zniszczeniu, albo należało całe kompleksy lasów ogrodzić, co też i uczyniono niemal wszędzie, widząc w tem finansową korzyść wobec wygórowanych wymagań za szkody, jakie jelenie i daniele w okolicznych polach sprawiać miały. *(R. v. Dąbrowski, Der Wildparck 4).* Ogromne koszta ogrodzeń całych rewirów dają miarę, czem są za granicą szkody przez zwierzynę w polach wyrządzane, o ile zaś niedostatecznym jest tutaj sposób oznaczenia szkód i ewentualne określenia wynagrodzenia wobec wygórowanych pretensyj poszkodowanych, to uwidocznia doskonale fakt opowiedziany przez naprowadzonego autora.

Pewien magnat, którego nazwiska autor nie wymienia, płacił rokrocznie włościanom pewną z góry oznaczoną sumę za szkody, gdy jednak z czasem coraz to wyższe żądania się pojawiły, zawezwano pełnomocników odnośnych gmin w celu porozumienia się co do przyszłego stałego wynagrodzenia szkód na podstawie słusznej, gdyż w przeciwnym razie właściciel polowania, nie mogąc się narażać na coraz to bardziej wygórowane żądania, zmuszony by był ogrodzić rewiry i ochronić się w ten sposób od wyzysku. Nie przyszło do porozumienia; więc ogrodzono w istocie cały kompleks lasów, a gminom zasystowano naturalnie wypłatę za szkody. Nikt by się nie spodziewał, iż wobec tak radykalnych kroków ze strony właściciela polowania, proponowali następnie właściciele przyległych gruntów, iż zadowolnią się i połową dotychczasowych odszkodowań, byle tylko ogrodzenia zniesiono, co nawet własnym kosztem uczynić się obowiązywali. Niestety! było już za późno.

Zbyt już powszechne na zachodzie ogrodzenia z rozmaitego materyału, w wyjątkowych razach byłyby i u nas już wskazane, a mianowicie, w celu radykalnej ochrony wielkich obszarów kultur, zwłaszcza, że koszta ogrodzeń w miarę powiększania się powierzchni rosną w stosunku prostym, tak, iż n. p. ogrodzenie kwadratowej powierzchni 4 morgów lub 9 morgów będzie kosztowało tylko 2 razy a względnie 4 razy tyle ile ogrodzenie 1 morga, a 100 morgów, tylko 10 razy tyle, co jeden morg.

Omawiając rozmaite sposoby ochrony kultur przed zwierzyną, muszę tu wspomnieć o jednym, który długo nie mógł mi jakoś przemówić do przekonania, aż wreszcie naoczne doświadczenia długiego lat szeregu doprowadziło do tego, iż zamieszczam go w rzędzie skutecznych środków ochrony.

W kulturach, założonych w związku czwórkowym w jednym kierunku rzędów, wytwarzają się wygodne do przejścia uliczki, któremi zwierzyna a osobliwie sarny najwygodniej spacerują, ogryzając wierzchołki. Otóż kultury założone w związku trójkowym, przy ciągłej zmianie kierunku rzędów, nie tak są wygodne dla przejść zwierzyny, wąskie uliczki często się zamykają i przerywają, a poprzeczne przejścia przy nieco starszych kulturach są jeżeli nie niemożliwe to wielce utrudnione — i na tem polega ochronne znaczenie kultur tego rodzaju.

Przypatrzmy się płochemu rodowi sarn, gdy wychodzą żerować. Poważnym krokiem postępują naprzód, lecz najmniejszy szmer wśród natury leśnej zwraca baczną ich uwagę, a częstokroć jakiś gwałtowniejszy szum, łomot skrzydła itp. w gęstwinie, wystarcza, by w najdzikszy popłoch wprawić te, grzeszące ciekawością ale i nazbyt płochliwe zwierzęta. Jednak do tak raptownych objawów nerwowości niema przyczyny; to tylko w oddaleniu strzału porwała się z leśnej odparzeli z kwakiem dzika kaczka. Atoli już ten zwykły głos w koncercie przyrody leśnej wystarcza do zelektryzowania całego stadka, „łyżki“ się prostują, cudne „świece“ szukają czegoś w okół, z rozwartem nozdrzem, z wytężonemi wszystkiemi zmysłami, które w tak wybitnej formie uwidoczniają się na prześlicznej głowie sarny, stoi w miejscu drużyna sarn jakby zaczarowana. Na samym przodzie stara koza, za nią kilka sztuk drobniejszych, a w tyle wychyla się główka z parostkami. Ale to już nie główka zaciętego szermierza niedawnej przeszłości, głośnego swego czasu romantyka kniei, — to zgodliwy i spokojny już dziś towarzysz w stadku, bo minęły piękne dnie miłosnych walk i pogoni, a parostki chwieją się na głowie i lada chwila pozbawi go tej ozdoby. Prozaiczna troska zajmuje teraz bez wyjątku całe stadko, coraz bardziej ubywa zasobów w lesie, a gdy powabne do niedawna gęstwiny drzew liściowych odsłoniły się w swej smutnej a szarej podziśdzień nagości, tem powabniej wystąpił dla oka i języka zawsze zielony kobierzec kultury szpilkowców. Wskakują zgrabnym susem zwierzęta w kulturę, — a tu przy rozmaicie przerywanych rzędach ścieżki zamknięte. To jedno budzi już niepokój, więc po gorączkowych skubnięciach zaraz od kraju, zwraca się stadko, pomimo, iż w chwili popłochu nie zatrzymałyby go i półtorametrowe przeszkody. Czy to szanując siły, czy też z innych względów, unika sarna tych ostateczności i uszkadza mniej zamknięte szeregi kultur trójkowych, niż otwarte szeregi jednokierunkowych w związku czwórkowym.

Zaniechanie starań wszelkiego rodzaju, aby zwierzynę uczynić nieszkodliwą, staje się, w szczególności wśród i tak już zgubnych dla zwierzyny zim, nową dla tejże klęską. Oto niewinne, bo z głodu popełniane uszkodzenia wywołują najprzód ostre pogróżki, potem następuje czyn, a proch i ołów zaczyna swe gospodarstwo wśród niedobitków klimatu i nieszczęsnych stosunków. Spotkać się tu można częstokroć z oryginalnemi pretensyami. Po opisie szkód, malującym je nerwowo i w najczarniejszych kolorach, następuje jakby obrona zwierzostanów, który w braku ostecznym był zmuszony do czegoś podobnego, a jednak konkluzya jest straszną, bo znów nie widzi się innego środka obrony jak ołów. Gdybyśmy potrafili w takich wypadkach wyrozumieć język

zwierzyny, może by nas upokorzyły słowa jej zapytania. „A gdzież winowajca? dlaczego zasłużyłyśmy na ołów? Czyż nie szukałyśmy pokarmu pomiędzy rzędami waszych kultur? Niestety, nie znalazłyśmy go! A przecież wlał nam Stwórca tak jak i wam niepowstrzymany pociąg do życia, które utrzymujemy choćby kosztem waszej pracy i starań. Gdy wasza, lecz nam zupełnie obca ekononomia kazała wam sadzić dwa drzewka tam, gdzie pierwej tylko jedno rosło, to gdzież mamy szukać żywności? Dajcie nam choć okruchy z tego, co wam wspólna wasza matka hojniej udziela, a nie będziecie potrzebowali stosować także i do naszego rodu tak u was zwykłych srodków niszczenia, do tego rodu, który wam daje i pożytek i uprzyjemnia wam ofiarą życia krótkie chwile waszego na ziemi panowania".

Taką by była treść chóru mieszkańców kniei, wskazał by on na liczne środki do utrzymania nieszkodliwej w lesie paraleli, a głos ten brzmi ciągle i brzmieć będzie. Słuchajmy go tylko ciągle i korzystajmy z tego, co już wyrozumieć zdołaliśmy; wystarczy i to poniekąd do utrzymania spokoju w zmienionym porządku leśnej przyrody.

Liche utrzymywanie bydła domowego karmą wystarczającą zaledwo do pełnienia funkcyj żywotnych, było marnotrawstwem bez celu, nonsensem ekonomicznym, utrzymującym się długie wieki pod dewizą, iż: „bydło jest koniecznem złem". Lecz na gorsze miano zasługuje w czasach naszych głodowanie zwierzyny, bo jest i ekonomicznym błędem i anachronizmem moralnym w wieku daleko idących pojęć humanitarnych. Anachronizm ten to barbarzyństwo, niezabronione wprawdzie kodeksem, ale wzbronione najwyższem prawem, bo prawem moralnem, wyrastającem na gruncie serca i rozumu, — prawem, w imię którego geniusz ludzkości nawołuje przez usta wieszcza: „Dla wszystkich miejsca dosyć na tej ziemi!" Dosyć już, gdy smutna konieczność każe nam w walce o byt składać bezustannie hekatomby na rzecz naszych żołądków, lub na obronę naszego bytu i kultury — nie igrajmy przynajmniej z tem i nie wylewajmy łez żalu krokodylowego nad ofiarami nieuniknionej konieczności.

W zeszłym roku pojawiło się wywołane konkursem dziełko: *Das Recht der Thiere.* Nie wchodząc tu w rozbiór rzeczowy książki, która wypowiada walkę dawnym, barbarzyńskim pojęciom, zwracam jedynie uwagę na tytuł i tezę w nim już zawartą, która zaprowadziłaby autora jeszcze przed niedawnemi czasy do domu obłąkanych. Komu by przyszło na myśl zastanawiać się nad jakiemiś „prawami" tych istot nieszczęśliwych, które według wiekowych wyobrażeń spełniać miały swe przeznaczenie dostarczając użytku ludzkości? „Nie jest to bynajmniej wygórowane wymaganie sentymentalizmu" powiada autor „lecz moralno-filozoficznemi pobudkami ugruntowany obowiązek człowieka, występować wobec zwierząt jako istot żyjących i uduchowionych z największą łagodnością i oględnością", a zdanie to opiera na niezliczonych cytatach, tak poetów jak filozofów różnych czasów, w których duszy tkwiło naturze ludzkiej właściwe uczucia dla zwierząt.

Niejeden z właścicieli kniejowych, może by się i zajął szczerze racyonalnem prowadzeniem łowiectwa, gdyby chciał uwierzyć w skuteczność środków, jakie postęp na tem polu wprowadza, gdyby przekonanym był, iż na wolę bożą pozostawiona zwierzyna staje się dotkliwą plagą kultury, a wreszcie gdyby się nie obawiał kosztów. Byłoby rzeczą niesumienną chcieć sprawę w fałszywem przedstawiać świetle a potem, co już dotąd powiedziałem, nawet i śmiesznem sprzeciwianiem się sobie, gdybym niekosztownością zachęcał do postępowej na tem polu pracy. Lecz powiem równocześnie z całem przekonaniem, iż koszta racyonalnie łożone będą tu tylko pozorne, a zwróci je choćby tylko to, czego niestety nie każdy dostrzega, i w co wielu wcale niewierzy — ustaną dotkliwe w lesie szkody. Nie posądzi mnie nikt, iż zapatrzywszy się na stosunki obce i na łowiectwo w dobrach wielkich magnatów na zachodzie, zachęcam ogół w naszym biednym kraju do reform, leżących zbyt daleko w planach przyszłości, wobec wielu pilniejszych spraw, spraw wielkiej ekonomicznej doniosłości.

Pamięć o łowiectwie nie wyklucza bynajmniej pracy na innem może ważniejszem polu ekonomii krajowej, i nic nie przeszkadza równoczesnemu postępowi i w tym dziale. Odstraszającym przykładem, wielką zaporą w drodze postępu, istną kompromitacyą łowiectwa, staje się częstokroć stan, wytworzony pod wpływem dylentantyzmu i pasyi myśliwskiej. Wiele prześlicznych obszarów łowieckich pozostaje w zarządzie ludzi, którzy oprócz tego iż są właścicielami, żadnego innego tytułu kompetencyi do łowieckiego zarządu nie posiadają; traktują oni więc łowiectwo w swój sposób amatorski i nie mogą mieć ani tych przyjemności łowieckich, jakie tylko z umiejętnego prowadzenia tegoż wypływają, ani doczekać się nie mogą korzystnych wyników. Gdy zaś w takich wypadkach leśnictwo traktowane bywa w sposób racyonalny pod kierunkiem fachowego człowieka, to wnet skrzyżowanie dróg nastąpić musi, i szkodliwa przewaga o tyle jest tu do przewidzenia, o ile w punkcie spornym schodzą się niezależny właściciel ziemi i zależny od niego oficyalista. — Wobec dyletanckich wyobrażeń jednej strony, znajduje się druga strona w bardzo przykrej kolizyi, bo smutno jest pozostać figurantem i znosić smutne następstwa światłej krytyki.

Niegdyś książe Rohan, łowczy króla Ludwika XIV., oddał swemu panu łowiecką buławę, gdy tenże chciał według swego widzimisia zarządzać łowami. Wśród fanfar Halali odjechał na swym białym arabskim ogierze i pozostał po za dworem króla Francyi księciem i panem, nie chcąc grać smutnej roli królewskiego figuranta, wierny dewizie swego rodu: *Roy ne puys, duc ne daygne, Rohan suys.* Dziś jednak niestety zastępom kolegów zawodowych księcia Rohana niewieleby pomogła dumna dewiza *„Rohan suys"*, tam gdzie dylentyzm i ślepa namiętność, szukają tylko rozrywki....

(C. d. n.).

Złe zamiary.

Że ludzie, co uznali kłamstwo za rodzaj zalety i umiejętności, miewali, miewają i, jak przypuszczać można, aż do wygaśnięcia rodu ludzkiego miewać będą przedsięwzięcia, mające na celu oszukanie bliźnich — to rzecz powszechnie wiadoma. Wątpię wszakże, czy równie dobrze znanym jest fakt, iż nietylko ludzie, ale i zwierzęta, kierują się czasem złym zamiarem, aby wywieść w pole swych współplemienników lub ludzi, co nad niemi czuwają. W takim razie starają się zwierzęta, podobnie jak ludzie, zły zamiar osłonić różnemi pozorami, byle go tylko do skutku doprowadzić.

Nie wszyscy panowie bracia po św. Hubercie będą wiedzieli i o tem, że zwierzęta umieją niekiedy, z okoliczności na pozór nic nie znaczących, odgadnąć ludzkie złe zamiary, które następnie ucieczką lub obroną starają się udaremnić. Nie mogę zapuszczać się w charakteryzowanie złych zamiarów i podstępów u różnych zwierząt, ograniczę się przeto, oparty na długoletniem doświadczeniu własnem, do jednego tylko rodzaju zwierząt, tj. psów.

W burzliwych dość epokach mej kawalerskiej przeszłości, która, nawiasem mówiąc, przypominała niekiedy położenie odyńca w chwili, gdy go ogary obskoczą, zostałem pewnego razu zaproszony na wieczór do znajomych, mających względem mnie różne małe i wielkie zamiary, między którymi niestety ani jednego dobrego dopatrzeć nie mogłem. Najniewinniejszym był jeszcze ten, aby wytańcowywać domowe i pozadomowe podlotki. Byłem młody i żwawy, nie dawałem się zatem do tego rodzaju pracy po dwa razy prosić, tembardziej, że między podlotkami znajdywało się zawsze parę już wyrosłych gąsek, z któremi nudne chwile takiego wieczorku można było jakoś prędzej przegęgać. Dla pozoru jednak ociągałem się z przyjęciem zaproszenia, tłumacząc się, że mam wyżła, z którym rozłączyć mi się nie podobna. Po dłuższem naleganiu wreszcie, abym wziął ze sobą wyżła, przyjąłem zaproszenie, nie przeczuwając, iż po za niewinnym zamiarem hulanki, ukrywał się brudny interesik materyalny.

Gdym przybył z wyżłem, którego ogólnie lubiano, zaproponowała mi gospodyni, bym go na czas zabawy umieścił w pokoju, skąd prowadziły drzwi do spiżarni, które były na klucz zamknięte. Uważałem to wprawdzie za zbyteczne, będąc pewnym, że wyżeł będzie leżał spokojnie wszędzie, gdziekolwiek leżeć mu rozkażę. W dobrej wierze wszakże, że rada gospodyni jest najlepszą, kazałem psu leżeć w kącie wskazanego przez nią pokoju, rozkazując równocześnie, aby się stamtąd nie oddalał. Podczas zabawy zauważyłem, iż ktoś przymknął drzwi, prowadzące z pokoju bawialnego do izby, gdzie wyżła zostawiłem, lecz nie widziałem potrzeby tam zaglądać, będąc pewnym, że pies z miejsca się nie ruszy, nikomu nic złego nie zrobi i sobie żadnej przykrości zrobić nie pozwoli. Niestety, omyliłem się.

W kilka minut po przymknięciu drzwi, dało się słyszeć przy drzwiach naprzód drapanie łapą, a następnie żałośne skomlenie wyżła, które w końcu zamieniło się na krótkie szczeknięcie, będące hasłem w chwilach ważnych, gdy mię wyżeł do pomocy wezwać uznał za potrzebne. Hasła tego nauczył się przypadkowo, gdy się podczas targu w okolicznem miasteczku między ludźmi zgubił.

Usłyszawszy hasło, zrozumiałem, że w pokoju, gdzie był wyżeł, musiało zajść coś niezwykłego, lecz tańcząc kadryla, nie mogłem odejść, aby się przekonać, co było tego hasła powodem. Gdy i na powtórne hasło nie dałem psu żadnej odpowiedzi, dał się słyszeć z pokoju, zajętego przez wyżła, brzęk, jakoby kilku naraz wytłuczonych szyb w oknie, a nim można było zastanowić się nad tem, wpadł mój wyżeł drzwiami, prowadzącemi na ganek, do pokoju bawialnego, rzucił się między tańczących, przyskoczył do mnie i spiąwszy się na tylnych łapach, oparł mi przednie na piersiach. Skoro tańczące osoby to spostrzegły, rozskoczyły się natychmiast i krzyknęły pełne trwogi: „Ach! Boże! pies się wściekł!", i tłocząc się we drzwi sąsiedniego pokoju, poczęły uciekać. Wiedząc dobrze, jakie miało znaczenie hasło, które wyżeł przed chwilą wygłosił, nie przypuszczałem ani chwili napadu jakiejś choroby, ale byłem ciekaw, co spowodowało go do tak niezwykłego postępku. Aby mi sukien nie walał, odepchnąłem go z lekka, a zganiwszy obcesowo wyrazem: Precz! zapytałem: „Cóżeś zrobił?" Nie mogąc odpowiedzieć słowami, spiął się pies po raz drugi i skomląc oparł mi ponownie przednie łapy na piersiach.

Myśląc, że wyżeł jest skaleczony, zacząłem go pilnie oglądać, i przy tem ujrzałem z niezmiernem zdziwieniem, że nie miał wprawdzie żadnej rany, ale był okryty na mordzie i przednich łapach świeżo nalepionemi kawałeczkami masła. To spostrzeżenie pouczyło mnie, jaki był powód, że pies przekroczył zakaz i tak obcesowo wpadł między tańczących. Nie mogłem tylko na razie pojąć, jakim sposobem został masłem oblepiony.

Aby to zbadać wszedłem do pokoju, gdzie wyżła poprzednio zostawiłem, a spostrzegłszy stojące otworem drzwi od spiżarni, oraz brak dwu szyb w oknie, domyśliłem się, iż jakaś znana wyżłowi osoba, otworzywszy drzwi spiżarniane, weszła do pokoju i najprawdopodobniej głaszcząc wyżła, osmarowała go naumyślnie masłem, co gdy wyżeł zauważał, zaczął się niepokoić i wzywał mię głosem, a nie mogąc się doczekać pomocy, uznał za konieczne umknąć jak najprędzej z miejsca, gdzie mogło nań paść podejrzenie, że wyjadał masło.

Upewniwszy się dostatecznie, jaki mógł być powód niepokoju wyżła, zamierzyłem wrócić do bawialni i opowiedzieć przestraszonym gościom, co się stało, gdy wtem wyszła ze spiżarni sama gospodyni, a afektując coś jakby ton przestrachu, rzekła:

— Ach! Panie! pański pies zrobił mi wielką szkodę

Skoro tylko wyżeł ją spostrzegł, stanął zaraz przy mej nodze i z cicha zawarczał, a ja domyśliwszy się reszty, rzekłem spokojnie:

— Widzę, widzę, pani dobrodziejko! Brak w oknie dwu szyb, które wytłukł mój wyżeł, lecz to bagatelka, zaraz jutro zostaną moim kosztem wstawione.

— Ależ ja nie o tem myślę — dorzuciła niby zirytowana — patrz pan! Zjadł wszystko masło z garnka — i pokazała mi garnek dwukwartowy, w którym na dnie było jeszcze trochę masła, pooranego w bruzdy, jako widoczny znak, że ktoś palcem wybierał masło z garnka.

Gdyby wyżeł był rzeczywiście masło z garnka wyjadł, to na resztkach masła byłyby niezawodnie pozostały szerokie wyżłobienia, jak to ma miejsce, gdy się masło łyżką z garnka wydobywa, albowiem każdy pies używa języka przy

jedzeniu w ten sposób, że wyginając koniec ku górze, tworzy zeń formalną warzechę, którą czerpie wszystkie płyny i zagarnia miększe artykuły pożywienia. O tem gospodyni domu widocznie nie wiedziała, gdyż nie byłaby tak śmiało oskarżała psa o kradzież; ja wszakże przyjąłem wszystko za dobrą monetę i przyrzekłem zwrócić masło, skonsumowane Bóg wie przez kogo, byłem bowiem najmocniej przekonany, że je mój wyżeł tylko wtedy powąchał, gdy mu je na mordę i łapy kładziono. Oprócz przekonania, zebrałem później i dowody niewinności wyżła, z których za najpewniejszy uważałem ten, że pies nie uległ bynajmniej następstwom, jakie spożycie dwu kwart masła winno było sprowadzić.

Zbytnia domyślność wyżła, że ma ze złym zamiarem do czynienia, naraziła mnie wprawdzie na szkodę materyalną, lecz nie żałowałem jej bynajmniej, bo stałem się bogatszym o jedno doświadczenie więcej.

Skończywszy o ludzkim złym zamiarze, który według wszelkiego prawdopodobieństwa udać się był powinien i mimo nadzwyczajnej przebiegłości psa rzeczywiście się udał, przechodzę do opowiadania o innych złych zamiarach, jakie u zwierząt a szczególnie u psów spostrzegłem.

Ten sam wyżeł, na którego rzucono podejrzenie kradzieży, miał pomiędzy swojemi współplemiennikami, zwykłemi chłopskiemi kundysami, bardzo wiele wrogów z przyczyny, iż przy każdem spotkaniu, skoro mu tylko skinieniem pozwoliłem, turbował ich nielitościwie. To też każdy pies, który miał nieszczęście zrobić znajomość z jego zębami, nienawidził go i zdala mu się odgrażał, ale gdy się znalazł blisko, brał zaraz ogon pod siebie i zmykał jak tylko mógł najprędzej.

W czeredzie psów, z któremi żył na tak złej stopie, było wszakże trzy, które porozumiawszy się poprzednio w sposób im właściwy, usiłowały zemścić się na moim wyżle i w tym celu urządzały kilkakrotnie zasadzki. Zasadzki te odbywały się w sposób następujący: Dwa psy, o ile z wyglądu wnosić było można, słabsze fizycznie od trzeciego, ukrywały się zawsze albo za płotem albo w rowie, trzeci zaś, widocznie najsilniejszy i najodważniejszy, przybiegał przed furtkę kwiatowego ogródka przed moim domem, i warcząc a naszczekując, starał się wywabić na ulicę mego wyżła, który letnią porą najczęściej na dworze przed domem przebywał.

Skoro wyżeł, drażniony naszczekiwaniem i kpinami psiego rodzaju, dał się unieść i bez pozwolenia wypadł na ulicę, wówczas tamten stawał śmiało do walki, a lubo przy pierwszem starciu został zawsze powalony na ziemię, mimo to walczył leżąc dopóty, dopóki ukryte w rowie lub za płotem sojuszniki nie przyszły mu na pomoc. Wtedy sytuacya się zmieniała. Wyżeł, szarpany z tyłu przez dwa psy, zmuszony był puścić tego, którego najprzód na ziemię powalił, ten zaś powstawszy rzucał się ponownie na wyżła, i choć za każdym razem bywał na bok odrzucany, lub na ziemię powalony, powtarzał ataki aż do chwili, kiedy ze wszystkich czterech psów utworzyła się jedna bezkształtna kupa, której podstawę stanowił kundys, co zwyczajnie walkę rozpoczynał, środek zaś wypełniał mój wyżeł, a wierzch i boki tworzyły dwa kundysy, będące przed walką w zasadzce. Gdy walka przybrała już ten charakter zaciętości na śmierć, spieszyłem bezzwłocznie na pole psiej bitwy i rozpędzałem napastników.

Zasadzki te powtarzały się przez jakie czternaście dni, ale mimo wszelkiej ostrożności ze strony kundysów, już wcale się nie udawały, bo wyżeł mój, nauczony doświadczeniem, zdobył się na większy jeszcze wojenny fortel, niż jego przeciwnicy.

Gdy tylko zażarty adwersarz pokazał się przed furtką i zaczął naszczekiwać, wówczas wyżeł krył się poza dom, lub wbiegał do kuchni, a stamtąd wyskoczywszy przez otwarte okno, znikał między łodygami kukurudzy, i tak zakryty podbiegał chyłkiem aż pod płot, za którym dwa znane mu i do tej wyprawy wojennej należące kundysy zwykle się kryły. Wywietrzywszy ich kryjówkę, przesadzał zwinnym susem płot i rozdawał im tak straszne cięcia, iż uciekały na łeb na szyję skowycząc i nie wracały już na pomoc przyjacielowi przy furtce, którego wyżeł następnie termosił.

W wypadku powyższym objawiały zwierzęta złe zamiary tylko względem siebie i dla osłonięcia tychże używały fortelów, aby się wzajemnie oszukać. Bardziej ciekawym jest wypadek, w którym pies swój zły zamiar potrafił tak dobrze osłonić, że oszukał nawet człowieka. Tym człowiekiem byłem niestety ja sam i dlatego, acz ze wstydem, opowiem ten wypadek dla przestrogi wszystkich przyjaciół psiego rodu.

Przed kilkunastu laty miałem wyżła do tego stopnia mądrego, żem z nim prawie na migi rozmawiał. Rozumieliśmy się tak dobrze, że skoro jeden zamierzył coś przedsiębrać, to drugi prawie zawsze się domyślił, co może mieć na celu, rozumie się, w zakresie dla psiej inteligencyi dostępnym.

Otóż raz, z przyczyn bardzo ważnych, zakazałem wyżłowi wdawać się z kundysami, które się zabawiały w sąsiednim ogrodzie, oddalonym o kilkaset kroków od mego mieszkania. Podobna zabawa ma z reguły dla wszystkich psów tyle ponęty i wywołuje u nich tak szalony pociąg, iż prawie nie ma psa, ktoryby, dla wzięcia w niej udziału, nie wypowiedział posłuszeństwa swojemu panu i nie opuścił go na czas dłuższy. Jednak mój wyżeł, usłyszawszy zakaz, nic zdradził bynajmniej chęci wypowiedzenia posłuszeństwa, owszem, okazał się na pozór całkiem spokojnym i obojętnym.

Gdyśmy wrócili do domu, zasiadłem do pisania, wyżeł zaś położył się najspokojniej na sienniku. Pozorny ten spokój nie trwał jednak długo. Najdalej w kwadrans zbliżył się pies do mnie i zaczął się łasić, przyczem spiął się na stół, przypatrywał się chwilę memu zatrudnieniu, a w końcu polizał mię w lewą rękę. Gdy mu powiedziałem: „Widzisz, że nie mam czasu, idź leżeć na swoje miesjce“ — usłuchał i odszedł, lecz za chwilę wstał znowu, a chodząc niespokojnie po pokoju, wspinał się i zaglądał do okna, wreszcie stanął w drzwiach otwartych i patrzył do sieni, ale na dwór nie wychodził. Następnie zbliżył się ponownie do mnie, a siadłszy przy nodze, zaczął z cicha skomleć.

W mniemaniu, że pies czuje potrzebę wyjścia, rzekłem nie patrząc nań: „Jeżeli chcesz na dwór, to idź!“ Otrzymawszy zezwolenie, wybiegł wyżeł bezzwłocznie z pokoju. Ja zaś podejrzywając, że ma zamiar pójść na zabawę, spojrzałem w okno i widziałem, jak stanąwszy we furtce, patrzał na sąsiedni ogród, dokąd iść mu zakazałem, lecz za chwilę wrócił do pokoju, i położył się znowu na swoim sienniku. Nie zauważywszy na nim nic takiego, coby wskazywało, że jest niespokojny, przestałem go podejrzywać o zamiar wydalenia się, a mając niektóre pilne sprawy do załatwienia, pisałem najmniej godzinę tak zawzięcie, iż nietylko na wyżła, ale jednem słowem na nic w około nie zwracałem uwagi

Skończywszy pisanie wstałem od stołu i wtedy dopiero spostrzegłem, że psa nie ma w pokoju. Podejrzywałem więc znowu, że ukradkiem poszedł tam, gdzie mu iść zabroniłem. Aby się przekonać i zobaczyć ostatecznie, gdzie

jest, wziąłem czapkę i wyszedłem, lecz ujrzałem psa tuż przed domem leżącego spokojnie i niby drzemiącego.

Ucieszyła mnie ta psia stateczność, robiłem już sobie nawet wyrzuty, żem wyżła niesłusznie o zły zamiar posądzał, a chcąc go niejako zrehabilitować, rzekłem głośno: „Oto bardzo porządny pies, co nigdzie nie chodzi“. Rzekłszy to, zbliżyłem się do niego, aby go pogłaskać — ale zamiast przymilań, jakie zwykle w takim razie okazywał, przyjął wyżeł pochwałę z oznakami właściwej wyżłom wstydliwości, gdy się do winy poczuwają i zdradził pewien niepokój. Spostrzegłszy to, nie głaskałem go już, lecz zacząłem go bliżej opatrywać, a ujrzawszy na udzie psa lekką, świeżo zadaną ranę, pochodzącą widocznie od psich zębów, zapytałem: „To ty łajdaku bez pozwolenia pewnie byłeś tam?“ i wskazałem ręką w kierunku ogrodu, gdzie kundysy się zabawiały. Spuszczony ku ziemi wzrok wyżła i czołganie się na brzuchu do nogi dały mi dowód, że przypuszczenie moje było rzeczywiście trafne, co też później sprawdziłem. Dowiedziałem się przytem od sąsiadów, że wyżeł, wysunąwszy się cichuteńko z pokoju, nie poszedł prosto furtką na ulicę, lecz wykradał się chyłkiem po za dom przez podwórze i stamtąd dopiero przeskoczywszy przez płot na drogę, popędził jak wicher do sąsiedniego ogrodu. Tu wpadł jak bomba w sam środek psiego grona, wyprawił rozmaite herezye i przebywał w ogrodzie jakie pół godziny, poczem wrócił tą samą drogą napowrót i położył się przed domem.

Jakkolwiek wyżeł przekroczył zakaz, mimo to nie miałem sumienia ukarać go czynnie, uznałem tylko za stosowne dać mu ustną naganę, tem bardziej, że przy tej psiej okazyi wzbogaciłem się doświadczeniem, że psy, podobnie jak ludzie, miewają złe zamiary i umieją je zatajać, ale gdy raz nabroją, to przynajmniej nie łżą jak niektóre ludzkie bestye.

Seweryn Kisielewski.

W Indyach.

Z wycieczki myśliwskiej arcyks. Franciszka Ferdynanda d' Este.

I.

W dalszej podróży swej po krajach Azyi, stanął arcyksiąże w Bhurtpore w Indyach, gdzie Maharadża za pośrednictwem rezydenta angielskiego polowanie na nilgaje i na ptactwo wodne zarządził. Był to fawor szczególny, bo zresztą ubijanie nilgai w posiadłościach maharadży z Burthpore jak najsurowiej jest zabronione.

Z Agra do Bhurthpore odbywała się jazda koleją. Już ten półgodzinny przejazd dał arcyksięciu sposobność przekonania się o łowieckiem bogactwie krainy tamtejszej. Na przydrożnych jeziorkach widziano liczne pelikany, bociany w trzech gatunkach, z których jeden jest olbrzymi, żórawie, gęsi, kaczki i mnóstwo innego ptactwa wodnego. Tu i ówdzie przemykały dżunglami stadka dzików i nilgajów. Te ostatnie są antylopami, przypominającemi jużto krowę, jużto łosia: głowa mała z małemi, zgiętemi, czarnemi rożkami, olbrzymią brodatą szyją, łopatki i garb jak u łosia, cewki silne i muskularne. Maść byków jest niebieskawo-szara z czarnemi cewkami, u krów i cieląt sarnio-brunatna.

Przybywszy do Bhurthpore, odwieziony przez samego maharadżę do pomieszkania angielskiego rezydenta, wybrał się arcyksiążę z hr. Wurmbrandem na podjazd na nilgaje i czarne kozły *(blackbucks)*. Dano mu do tego wspaniały, na zielono malowany powóz galowy, który jednak wkrótce porzucił, zapuściwszy się wprost w gęstwinę dżungli. Pierwszem zwierzęciem, które tam spostrzegł, był zwykły szarak, podobny do naszego, lecz nieco mniejszy, i lis. Niebawem otworzył się wśród dżungli widok na małe joziorko z mnóstwem ptactwa wodnego. Nad brzegiem jeziorka żerowało stadko czarnych kozłów. Na widok człowieka, płoche jak zwykle, rzuciły się olbrzymiemi skokami do ucieczki. Arcyksiążę strzelił na wielką odległość i postrzelił kozła, gdy wtem wypadła z dżungli koza, a za nią, mimo strzału, niepowstrzymana w pościgu pantera. Odległość znaczna nie pozwoliła arcyksięciu puścić się w pogoń za tem swego rodzaju polowaniem.

W dalszym pochodzie ujrzał arcyksiąże na odległość około stu kroków pomiędzy gałęziami dżungli łopatkę i cewki nilgaja. Nie namyślając się wiele, wycelował w komorę i ubił pierwszego swego nilgaja. Celnie ugodzone zwierzę padło bez życia na jakich 200 kroków od miejsca, gdzie było strzelone.

Cały ten obszar dżungli był niezwykle zwierzyną łowną zapełniony. To przemykały nadzwyczaj szybko czarne kozły, to wyskakiwały szakale z pomiędzy zeschłej trawy, to wzlatywały pawie, a górą przeciągały tysiącami gołębie. W powrocie do namiotu padł jeszcze od strzału arcyksięcia jeden szakal.

Po śniadaniu nastąpiło wielce ciekawe polowanie wodne. Są tam trzy duże stawy, przegrodzone niskiemi groblami, otoczone lasem, a w części dżunglami, przez które snują się potoczki i przeświecają błotka. Wyborna też to ostoja nietylko dla nilgajów, kóz, gazeli i szakalów, ale również dla niezliczonej gromady żurawi, bocianów, czapel, gęsi, kaczek, kormoranów, kurek, nurków, bataljonów i bekasów. Ponad tem w górze krążą poważnie orły, sępy i kanie, czatując na zdobycz.

Polowanie odbywało się w ten sposób, że arcyksiążę i jego świta ustawili się za płotkami na jednej z grobel, i na dany znak rozpoczęła się nagonka przez wody ku grobli. Służbę naganiaczy pełniło bardzo inteligentnie siedm słoni, które chętnie i spokojnie nawet w głębszą wodę idą, pędząc przed sobą ptactwo.

Po pierwszych strzałach zerwały się istne chmury wodnego ptactwa, które powitano dalszą salwą strzałów. Arcyksiążę, który już bardzo wiele w rozmaitych krajach polował, twierdzi, że nigdy w życiu nie widział jeszcze takiej mnogości ptactwa wodnego na jednem miejscu. Z żórawi, bocianów i czapel, które odrazu do znacznej wznoszą się wysokości, padły tylko dwie średnie czaple srebrzyste *(Ardea intermedia)*, lecz gęsi i kaczek rozmaitego gatunku ubito-

przeszło 100 sztuk. Jeżeli zaś jakie stadko znowu na wodę zapadło, to słoń-naganiacz zwracał się poważnie i ponownie je spędzał. Sam arcyksiążę zastrzelił 43 kaczek, między temi krzyżówki, podgorzałki, cyraneczki, płaskonosy i rożeńce — nadto parę kormoranów i kurek. Wszystk e w ogóle zastrzelone kaczki, prócz jednego egzemplarza, należały do gatunków i w Europie przebywających. Na myśliwych wypłynęło także siedm wyder, z których jedna poległa.

Po dwugodzinnem polowaniu wrócono do Bhurtpore, i jeszcze po drodze służyło arcyksięciu szczęście myśliwskie, bo ubił dwa nilgaje, krowę i byka niezwykle dużego.

Polowanie to zachęciło do tego stopnia arcyksięcia i jego towarzyszy, że postanowili jeszcze nazajutrz d. 15. lutego zapolować.

Oto co pisze o tym dniu sam arcyksiążę:

„O pół do ósmej rano stał już gotowym nasz pociąg kolejowy. Kazałem prosić dyrektora kolei, ażeby zatrzymał pociąg przy jeziorku, gdzieśmy dzień przedtem tak wiele ptactwa widzieli. Zgodził się na to. Skorośmy więc tylko na miejsce przybyli, wyskoczyliśmy szybko z wagonów i strzeliliśmy do chmur zrywającego się ptactwa. Olbrzymi bocian o czarnej szyi *(Mycteria senegalensis)* i trzy kaczki były pierwszą naszą zdobyczą. Właśnie daliśmy znak do dalszej jazdy, gdy przybiegł konduktor i wręczył nam jeszcze pelikana różowego *(Pelecanus roseus)*, który padł w pewnej odległości na tor kolejowy. Był on ugodzony przypadkowo jakimś zabłąkanym śrótem, gdyż nikt z nas do pelikana nie mierzył.

„Gdy pociąg był już w pełnym biegu, ubiłem jeszcze z platformy wagonu olbrzymiego bociana w locie i żerującego bociana białoszyjnego *(Ciconia leucocaephalo)*. Maszynista widział spadające ptaki, zatrzymał więc pociąg i zabraliśmy je do wagonu.

„Teraz wpadła i cała służba kolejowa w istny szał myśliwski. Gdyśmy więc niebawem rudel nilgajów ujrzeli, zatrzymała pociąg z własnego popędu. Hr. Wurmbrand strzelił do krowy, która wkrótce do wagonu towarowego powędrowała. Po kilkuset krokach zatrzymano znów pociąg. Konduktorowie przybiegli i pokazali nam nowy rudel nilgajów, żerujących między dżunglami. Towarzysze moi wyskoczyli szybko z sztućcami, ja zaś zostałem jako spektator w pociągu, bom już dnia poprzedniego trzy nilgaje ubił. C. położył pierwszego byka na miejscu, Wurmbrand postrzelił ciężko drugiego, którego po dłuższem poszukiwaniu dobito, Pirie chybił byka w biegu.

„Teraz atoli, mimo najlepszych zamiarów, rozbudziła się i we mnie gorączka łowiecka i przemogła. C. odstąpił mi swego sztućca, rzuciłem się więc za umykającym rudlem nilgajów i powiodło mi się w pełnym biegu ubić jeszcze jednego dużego byka.

„Z pociągu kolejowego ubiliśmy zatem w jednej chwili trzy duże byki i krowę. Pociąg poruszał się wedle potrzeby to naprzód to w tył, tak, że zdobycz naszą wkrótce naładowano i mogliśmy dalej jechać.

„Polowałem już na podjazd rozmaicie, to pieszo, to konno, to wozem lub czółnem, albo podjazd koleją żelazną trafił mi się tu po raz pierwszy w życiu, a był on bardzo oryginalnym i powiódł się znakomicie. Mieliśmy tylko godzinę spóźnienia przybywszy do Bhurtpore".

Po śniadaniu u rezydenta angielskiego, pułkownika Martelli, ułożono dalszy program polowań i postanowiono przejść przez całe dżungle, w których dnia poprzedniego tyle nilgajów i szakali widziano. Tym razem oczekiwania zawiodły; nilgajów nie było, gdyż je przepłoszyła poprzednia pukanina. Arcyksiążę ubił zaraz na wstępie trzy zajączki i żórawia Antygony o purpurowej głowie, nadto postrzelił dzika i widział mnóstwo „świętych" pawi i gołębi. Następnie przebrodzono błotka i wody na słoniach. Podziwienia godną jest ostrożność słonia, gdy takie miejsca przebywa. Sonduje naprzód ostrożnie grunt nogą, nim się dalej puści, a idąc nabiera ciągle trąbą wodę i tryska nią lub spasa wodne rośliny. Strzelanie z „howdy", tj. z wieżyczki umieszczonej na słoniu, jest bardzo niewygodne i trudne. Cała ta góra żywa pod nogami nie stoi ani chwilki spokojnie, porusza się ciągle, stąd też niesłychanej trzeba wprawy, aby nie pudłować. Strzelano bezustannie, a mimo to „sztreka" nie była wcale bogatą. Arcyksiążę, chociaż tak znakomicie strzela, chybił mnóstwo kaczek i kormoranów; udało mu się tylko ubić jednego bociana olbrzymiego. C. zastrzelił śliczną gazelę i dwa szakale.

Nareszcie uprzykrzyła się arcyksięciu ta jazda na słoniu i to wieczne pudłowanie. Puścił się tedy pieszo wśród gęstwiny, która kolcami suknię i skórę rozdzierała, i wraz z Pirie'm ubili jeszcze dwa nilgaje, a oprócz tego parę szakali, kuropatw, przepiórek i zajęcy.

* * *

W pięć dni później, d. 20 lutego, znalazł się arcyksiążę w miejscowości Siriska w państwie Ulwar, w obozowisku, z którego postanowiono robić wyprawy na tygrysy. Czternaście słoni z pięknemi „howdami" i zręcznymi „mahutami" (przewodnikami) oraz sto koni i wielbłądów jucznych oddane zostały do rozporządzenia naszych myśliwych.

Zanim zdołano zasięgnąć języka, czy są tygrysy w okolicy, buszowali myśliwi po sąsiednich dżunglach i stokach górskich za drobniejszą zwierzyną. Wspinanie się po stokach było nadzwyczaj uciążliwe, bo jużto bardzo kolczate krzewy, jużto płyty i bloki skalne utrudniały pochód.

Niesłychaną była tu ilość dzikich pawi, które się z pod nóg myśliwych co chwila zrywają. Strzelać do nich nie można, gdyż pawia uważają Hindusi za świętego ptaka i zabijanie ich wywołać by mogło w ludności groźne wzburzenia. Szaraczki zatem o długich słuchach, indyjskie kuropatwy i przepiórki, papugi i pięknie ubarwiony zielony gołąb indyjski, były całą zdobyczą łowiecką. Arcyksiążę strzelał także na znaczną odległość do rysia i do nadzwyczaj wielkiego krokodyla, ale oba chybił.

Gdy nie zgłoszono tygrysa, wrócili myśliwi do obozowiska. Arcyksiążę odbywał tę drogę w starożytnej kolasie na wysokich, łukowato wygiętych resorach, zaprzężonej w cztery konie. Na koźle towarzyszyło mu dwóch starych białobrodych Hindusów, których ubranie było dziwaczną mieszaniną ubrania angielskiego i indyjskiej liberyi służbowej. Okolica była górska, dzika i romantyczna. Lecz bezustanne podrzucanie przedpotopowej kolasy dało się arcyksięciu we znaki, siadł więc na małą arabską klaczkę i wysuniętym kłusem przebył wkrótce przestrzeń dziesięciu mil angielskich, dzielących go od obozowiska.

Obozowisko to było bardzo rozległe: 30 namiotów służyło dla arcyksięcia i jego świty, 30 dalszych dla służby i kuchni. Za namiotem, mieszczącym w sobie salon z meblami ze złotogłowiu i jadalnię, wzniesiono wzgórek w cieniu ogromnego fikusa, a na nim grządki z kwiatami, siedzenia darniowe, baseny ze złotemi rybkami, wodotrysk itd. Szlaki grządek kwiatowych były ułożone z kamyczków kolorowych i zawierały w sobie mozaikowo ułożono sentencye lub sceny

z życia łowieckiego. Przy każdym namiocie dla świty urządzono łazienkę.

Oprócz głównego obozowiska założono w pewnem oddaleniu osobne obozy dla szikarich i naganiaczy, dla słoni z ich mahutami, dla wielbłądów i koni, co razem z różnobarwnemi kostiumami i w uroczem otoczeniu gór i zieleni, bardzo malowniczy przedstawiało widok.

Dnia 21 lutego rano sygnalizowano tygrysa. Do obozu przybył „wielki łowczy" *head shikari* państwa Ulwaru, nazwiskiem Harnarain i zarządził przygotowania do wyprawy. Sam ów wielki łowczy jest figurką wielce ciekawą. Małego wzrostu, utykający na nogę, którą uszkodził spadłszy ze słonia, o dużej siwej brodzie i okularach, a groźnym marsie, robi on dość komiczne wrażenie. Ze wszystkimi, a nawet z rezydentem angielskim, pułkownikiem Fraserem, rozprawia się krótko, krzyczy, wydaje rozkazy i klnie na wszystko i na wszystkich — ale jest w sprawach łowieckich osobą wielce wpływową w Ulwarze i dlatego trzeba znosić jego zły humor. Oprócz urzędu wielkiego łowczego, pełni on jeszcze funkcye inspektora nawodnień, lasów i ogrodów.

O 11-cj godzinie wyruszyła wyprawa na tygrysa. Cały legion szikarich ze strzelbami i dzidami stanął do apelu, myśliwi nasi siedli na słonie, i wkrótce cała kawalkada spuściła się w dolinę, aby czekać dalszych rozkazów Harnaraina. W pobliżu leżały resztki przywiązanego do drzewa cielaka, którego tygrys rozdarł i pożarł. W około tych resztek krążyły sępy lub siedziały na drzewach z pełnem już wolami.

„Nareszcie na przeciwnym brzegu jaru — pisze arcyksiążę — pojawił się Harnarain na swoim słoniu i dał znak, abyśmy zajęli nasze stanowiska. Nie było to łatwe zadanie. Musieliśmy się z naszemi słoniami przeciskać pomiędzy zbite gałęzie kolczatych drzew, tak, że ręce nasze broczyły w końcu od krwi.

„Podziwienia godną jest zręczność i roztropność słoni, z jaką wspinają się na stoki górskie po wąskich i kamienistych ścieżkach. Howda chwieje się i skacze mu na grzbiecie jak łódka na wspienionem morzu, ale słonia nie wyprowadza to z równowagi. Próbuje grunt trąbą i stopą, a potem idzie naprzód z taką pewnością, że można się mu spokojnie powierzyć. Jeżeli trafi na ścieżce kamień lub drzewo trudne do obejścia, wtedy usuwa je trąbą, przy grubszych zaś drzewach naciska poprostu czołem i druzgocze przeszkodę.

„Obstąpiliśmy półkolem parów, w którym miał się znachodzić tygrys. Ja miałem najwyższe stanowisko, drapałem się też formalnie z moim słoniem aż do połowy prawego stoku, ażeby mieć dobry przegląd całej rozpadliny. Tu stanąłem i czekałem.

„Pomimo, że cały parów był gęsto kolczatemi krzakami zarośnięty, to przecież były tu i owdzie łysinki, tak, żem już naprzód obmyślał, gdzie będzie można tygrysa strzelać.

„Jakoż rozpoczął się gon, połączony ze zwyczajnym w takich razach piekielnym hałasem. Nagonka schodziła ze stoków ku dołowi. Teren do przegonienia był bardzo niewielki, ale w skutek trudności posuwania się naganiaczy, trwał gon dwie godziny. Lecz, niestety, tygrysa nie było prawdopodobnie w jarze, gdyż się nie pojawił i całe polowanie skończyło się na niczem.

„Tu po raz pierwszy widziałem sambura, jelenia indyjskiego *(Cervus Aristotelis)*, a mianowicie średniego widłaka i łanię z podciołkiem. Podobne one do naszych jeleni, ale nie mają zupełnie tej szlachetnej, dumnej postawy naszego króla lasów, dlatego, iż sambur zawsze łeb na dół spuszcza i wieniec jego nie ma nigdy więcej nad sześć końców".

D. 22 lutego nie było znowu widoków spotkania się z tygrysem, gdyż w nocy padał mocny deszcz, a w taką porę tygrysy przenoszą się ciągle z miejsca na miejsce i trudno je w kniei obciąć.

Myśliwi nasi wybrali się konno ku pobliskim wzgórzom, gdzie ich już oczekiwał szikari z wiadomością że jeleń jest w kniei. Arcyksiąże udał się więc ze swym strzelcem przybocznym Janiczkiem i szikarim ku stromemu pagórkowi, gdzie mu na przeciwległym brzegu parowu pysznego rogacza pokazano. Trudno go było zrazu rozpoznać, bo stał nieporuszony, spoglądając ku przybyłym, a maść jego brunatno-żółta odpowiadała zupełnie barwie otaczających go zeschłych traw. Szikari namawiał arcyksięcia. aby zaraz strzelał, odległość wszakże wynosiła około 300 kroków i strzał nie mógł być pewnym. Gdy jednak podchodzenie przez parów było wprost niemożliwe, zdecydował się wreszcie arcyksiąże na strzał. Jeleń naznaczył po strzale i znikł w gęstwinie Z wielkim wysiłkiem dotarł arcyksiąże do miejsca strzału i znalazł obfitą farbę, a idąc za nią nadybał wkrótce i postrzałka, lecz w gorączce łowieckiej chybił go tym razem. Ponieważ jednak na dole znajdowała się świta i nagonka, zarządzono mały gon i rzeczywiście wypędzono znowu postrzelonego sambura na arcyksięcia, który wraz z hr. Wurmbrandem dał do niego trzy strzały i położył go na miejscu. Był to stary i widocznie bardzo bitny rogacz, bo miał na sobie liczne ślady walk, a szczególniej łyżki tak pocięte, że nawet nie nadał się do wypchania. Rzucono tedy zdobycz na słonia i przetransportowano na pieczystę do obozowiska.

Zaledwo się to stało, sygnalizowano drugiego jelenia. I teraz podchodził go sam arcyksiąże i strzelał również przez parów, ale w gorszych warunkach, bo jeleń stał na szpic ku strzelającemu. Mimo to jeleń padł na miejscu i z istną lawiną kamieni stoczył się w parów. Cała zgraja szikarich przypadła wówczas do szczęśliwego strzelca z okrzykami podziwu i radości, a nawet „wielki łowczy" raczył się uśmiechać z zadowoleniem.

Wsiadłszy na słonie, dostali się nasi myśliwi niebawem w inną, długą i szeroką dolinę, porosłą wysokiemi, zeschłemi trawami i gęstwinami kolczatych krzewów, a otoczoną górami. W jednem miejscu, natrafiwszy na złą i stromą ścieżynkę, urządziły się słonie przy schodzeniu w ten sposób, że siadały na zadzie, a podpierając się trąbą, spuszczały się ku dołowi ostrożnie na przednich nogach.

Przybywszy w tę dolinę zarządzono nagonkę, lecz niestety bezskuteczną, bo posuwanie się naganiaczy przez gęste dżungle było wprost niemożliwe.

Dnia 23 lutego okryła gęsta mgła całą dolinę. O wytropieniu i obcięciu tygrysa nie było ani mowy. Dopiero około godz. 11 zaczęła mgła opadać, kontury gór się pokazały i niebo zajaśniało promieniami słońca.

Harnarain próbował popisać się polowaniem z sokołami i rysiami do łowów zaprawionemi, ale się próba nie bardzo powiodła, bo ani sokoły ani rysie nie miały ochoty do popisu.

Tymczasem dano znać, że są nilgaje i sambury, i hr. Kinsky ubił na podchodne jednego nilgaja. Inni członkowie świty wraz z arcyksięciem przebuszowali całą dolinę i po czterech godzinach ubili 80 żwirowców *(sandgrouses)*. Oprócz tego arcyksiąże i Pirie zastrzelili dwa lisy indyjskie i szakala. Szakal ten pochodził z całego rudla weselnego, w któ-

rym szakale (psy) ciągnąc za suką, bezustannie szczekały i kąsały się zawzięcie.

Jeszcze łowy te trwały, gdy wtem przybiegł zadyszany szikari z wieścią, że wśród pobliskich wzgórzy jest tygrys, i że chcąc na niego zapolować, nie należy go strzałami płoszyć.

Dopiero więc 24 lutego nastąpiło upragnione spotkanie z tygrysami, które arcyksiążę w ten sposób opisuje:

„Około 9-tej godziny rano dano nam znać, że dwa tygrysy obległy w pobliskiej, gęsto zarośniętej dolinie. Harnarain wyjechał zaraz na swym słoniu w towarzystwie szikarich i nagonki, ażeby poczynić stosowne przygotowania. W godzinę później pospieszyliśmy za nim, przecięliśmy sąsiednią równinę i wjechaliśmy następnie w głąb wąskiej, gąszczami zarośniętej doliny, gdzie nas Harnarain z radością uwiadomił, że tygrysy są istotnie w pobliżu miejsca, na którem nad rankiem cielaka bawolego pożarły.

„Zamieniliśmy tedy rumaki na słonie. Mnie dostał się ulubiony słoń maharadży Ulwaru, który go zawsze przy polowaniach na tygrysy używał.

„Head-szikari obmyślił plan następujący. Ponieważ tygrys może być przy bawole lub tuż obok, więc najprzód dał mnie samemu misyę podchodzenia go i ubicia; gdyby się to nie powiodło, miał być gon zarządzonym. Mahutowi mojemu zalecono jak największy spokój przy podchodzeniu, ażeby szelestem gałęzi nie spłoszyć tygrysa.

„Umieściłem się tedy w mej howdzie jak można było najdogodniej i wziąłem dwa sztućce Szpringerowskie nabite cal. 500 i 577. Za mną siadł mój strzelec i szikari, który tygrysa obciął. Pierwsze powitanie postanowiłem przesłać tygrysowi moim starym 500-kalibrowym sztućcem, którego na wszystkich polowaniach w kraju używałem, i z którego już przeszło tysiąc sztuk zwierzyny ubiłem.

„Podkradałem się tedy na moim słoniu o ile możności jak najciszej, unikając ocierania się o gałęzie, a szikarowie ustawili się tymczasem na grzbietach pagórków w około, ażeby wszelkie ruchy tygrysów obserwować. Wysoka, żółta trawa lub kolczate krzewiny ścieliły się przedemną; wpijałem w nie mój wzrok i śledziłem, czy się gdzie nie ukaże łeb tygrysa. Tak doszliśmy niebawem do miejsca, gdzie leżał na pół pożarty bawół, o którego resztki staczały spór sępy i szakale — ale tygrysa ani śladu.

„Posunąłem się tedy dalej, i już na radę szikarego chciałem nawrócić, gdy wtem z przeciwległej przełęczy odezwało się wołanie: *Bagh*, *Bura Bagh!* (Tygrys, tygrys!) W temże okamgnieniu ujrzałem w odległości trzystu kroków tygrysa, który, spuszczając się ze stoku, w pełnym biegu pomiędzy dżungle przemykał. Niestety, w tejże samej chwili zoczywszy mnie zmienił kierunek i znikł w gęstwinie.

„Straciłem nadzieję, czy przyjdę do strzału i dałem rozkaz Mahutowi, ażeby skierował słonia w stronę, w którą umykał tygrys. Na szczęście jednak pułkownik Fraser, doświadczony łowca tygrysów, zobaczywszy nasz manewr, strzelił przed siebie na oślep, ażeby tygrysa powstrzymać w ucieczce i nawrócić. Fortel ten powiódł się znakomicie. Tygrys zawrócił na miejscu i wypadł z zarośli na 60 kroków przedemną. Tyle tylko miałem czasu, ażeby zawołać na Machuta: *Tyro*! (Stój!) — padł strzał, i tygrys, a raczej ogromna tygrysica, rulując jak zając, padła u mych nóg.

„Jak wielką była moja radość, nie jestem wstanie wyrazić; myśliwy tylko może ocenić uczucia, które mnie całego opanowały na widok pierwszego ubitego tygrysa. Pozwoliłem strzelcowi mojemu wykrzykiwać z uciechy jak szalonemu, a niebawem zbliżyli się i inni i składali mi swe życzenia.

„Nie było wszakże czasu oglądać ubitej tygrysicy lub opowiadać jak się to wszystko stało, gdyż po kilku minutach rozległ się piekielny krzyk naganiaczy, dający nam znać, że jeszcze jeden tygrys znajduje się w parowie. Zbliżyliśmy się tedy ku brzegowi parowu, podczas gdy nagonka miała rabusia ku nam wypędzić.

„Przyznam się, że nie miałem wielkiej nadziei, ażeby po strzałach, które padły i po krzykach, tygrys dotrwał jeszcze na miejscu, tem bardziej, że cały parów nie był więcej nad 200 kroków szeroki, a nagonka stanęła już na brzegu i wrzeszczała jak opętana. Później dopiero wyjaśnił się cały przebieg rzeczy. Tygrys, który rzeczywiście leżał w parowie, chciał się zaraz po strzałach wymknąć, ale natknął na nagonkę i wrócił, kryjąc się w gęstych dżunglach.

„Gdy się po tem pierwszem spotkaniu cokolwiek uspokoiło, ruszyliśmy całą linią na naszych słoniach ku wspomnianemu parowowi — co nie było łatwem, zwłaszcza dla mojego słonia, gdyż musieliśmy przebyć dość stromą ścieżkę. Podziwiałem przy tej sposobności ponownie zręczność i siłę tego roztropnego zwierza, który usuwając sobie przeszkody wyrwał z wszelką łatwością drzewo, mierzące co najmniej stopę średnicy.

„Na spadzistej krawędzi kociołkowatego parowu stanęło nas półkolem sześciu; w dole zatrzymał się po jednej stronie Harnarain z kilkoma słoniami dla obrony, po drugiej stronie pułkownik Fraser z towarzyszami. Nagonka spuszczała się nadzwyczaj ostrożnie, krok za krokiem, strącając ciągle kamienie ku dołowi. Po kilku minutach naprężonego wyczekiwania, uderzył mnie mój strzelec w ramię. Spojrzałem we wskazanym kierunku i zobaczyłem na samym dnie parowu pod sobą, jak ogromny tygrys przemyka się przez małą łysinkę ku stanowisku pułkownika Frasera. Przepyszny był to widok, ów kot olbrzymich rozmiarów, naciskany ze wszech stron, szukający gdzieby się wymknąć, czołgający ostrożnie i tak cicho, że prawie liści krzaków nie poruszał.

„Nie wiedziałem już od dawien dawna, co to znaczy gorączka myśliwska, ale przy pierwszych moich tygrysach tak mnie znowu chwyciła, jak ongi, za lat najmłodszych, gdym czynił pierwsze kroki w myśliwstwie, przystając do braci św. Huberta.

„Towarzysz Frasera F. strzelił do tygrysa, ale go chybił. Tygrys skręcił się zatem i znowu wpadł w dżungle, chcąc się wzdłuż wymknąć, tu jednakże spędził go zręcznie Harnarain i jego towarzysze, i zmusił do cofnięcia się w gęstwinę. Wszystkim tym manewrom przyglądałem się z największem naprężeniem i nie mogłem się doczekać chwili, w której nam Fraser dał znak, ażebyśmy ku tygrysowi postąpili. Napędzałem mego Mahuta do największego pospiechu przy spuszczaniu się w dół, Kińsky i Pirie towarzyszyli mi na swych słoniach, i tak wdzieraliśmy się w najgęstszy labirynt drzew i krzaków. Główną rośliną tych dziewiczych dżungli było drzewo zwane „teak“ z dużemi skórkowatemi liściami podobnemi do liści bambusa.

„Zaledwo postąpiłem 50 kroków w głąb tego labiryntu, ujrzałem między dwoma łodygami bambusa żółtą plamę, która, gdym się jej bliżej przyglądnął, przybrała kształty tygrysa spoglądającego na mnie ukosem. Daję więc znak Mahutowi, aby stanął, gdyż przy ciągłych ruchach słonia strzelanie było niemożliwe. Dojrzał to tygrys i zwrócił się ku mnie, ale ja właśnie skorzystałem z tej chwili i pocisnąłem cyngiel.

„Zaraz po strzale usłyszałem upadanie tygrysa i toczenie się jego po kamienistej zboczy na jakie 30 kroków przed moim słoniem. Nie mogłem go wszakże widzieć, bo nas dzieliła gąszcz nieprzebita. Nagle zerwał się znowu zwierz raniony i ukazał moim oczom w chwili zamierzonego skoku na słonia. Lecz tylko jeden skok mu się powiódł, przy drugim, którym miał dosięgnąć słonia, opuściły go siły. W tejże samej chwili przebił się Wurmbrand przez gęstwinę i strzelił mu w ucho, tak, iż tygrys wyciągnął się bez życia.

„Teraz przypadło ku nam wszystko co żyło, a scena, jaka się około ubitego tygrysa wytworzyła, nie wyjdzie mi nigdy z pamięci. W górze pięciuset naganiaczy, którzy go wszyscy widzieć pragną, około nich rozradowani szikarowie, dla których tygrys dawnym jest znajomym, bo mu niejedną bezsenną noc poświęcili — wrzeszczą oni z radości i ciągłemi ukłonami dają mi znaki podziwu. W około stoją wszystkie słonie, niektóre z nich prychają jeszcze i trąbią w najwyższem rozdrażnieniu, a śród tego wszystkiego Harnarain straszliwie krzyczący, to wyraża mi swe życzenia, to klnie i daje rozkazy, tyczące się transportu tygrysa.

„Cała ta scena na bujnem tle dziewiczych zarośli i stromych stoków składała się w przepyszny obraz.

„Dzień ów z dwoma ubitymi tygrysami w przeciągu pół godziny, będzie najpiękniejszem i największem z moich wspomnień myśliwskich, i dzięki składam św. Hubertowi za ten łowiecki tryumf!

„Oba tygrysy były dużemi i należycie wyrośniętemi egzemplarzami. Stary Harnarain ocenił ich wiek na pięć lat. Futra ich są prześliczne. Samiec mierzył od nosa do końca ogona 9 stóp angielskich, samica ośm.

„Pełni upojenia radośnego ruszyliśmy całą karawaną ku obozowisku, a na przedzie postępowały słonie, dźwigające obu ubitych rabusiów. W ślad za niemi jechaliśmy częścią konno częścią na słoniach, za nami zaś cały chór szikarich i naganiaczy. Zaraz po przybyciu naszem do obozowiska wyległa cała wieś, ażeby się ubitym tygrysom przypatrzyć“.

PIJAŃSTWO U ZWIERZĄT.

Przez pijaństwo rozumiemy w zwyczajnem życiu niepowstrzymalny pociąg do tak zwanych mocnych napojów, w dalszem zaś rozumieniu wyraża to słowo skłonność do narkotycznych środków w ogóle, a przez to mniej namiętność, jak raczej pociąg natury, który u wszystkich ludów i we wszystkich czasach jest człowiekowi prawie wrodzonym. Lecz popęd do pijaństwa, czyli umiłowanie stanu nietrzeźwości, jest także wielce rozpowszechnionem w świecie zwierzęcym, i człowiek bynajmniej pod tym względem nie potrzebuje się uznawać wyższym od swych współistot.

Weźmy nasamprzód używanie alkoholu pod rozwagę. Dostatecznie znaną jest rzeczą, jak łatwo nasi czworonożni towarzysze domu nie tylko przyjmują substancye zawierające alkohol, lecz po krótkim czasie poczynają je lubić. O ile wybór zależy od nich, to owce, osły i kozy lubią resztki wina, których spożycie przyczynia się do ich wesołości, podczas gdy bydło, psy i konie raczej wolą piwo i w stanie pijanym dziwnie się zachowują. Świnie żrą i piją bez różnicy i pozostają także w pijaństwie świniami. Jedynie koty zdają się mieć nieprzełamaną antypatyę do alkoholu, przynajmniej nie zostało jeszcze udowodnionem, aby się dały nakłonić do picia. O słoniu zaś jest wiadomem, że okazuje głęboką cześć dla swojego ziomka, prawdziwego wschodnio-indyjskiego araku, ale przecież pozostaje po za niedźwiedziem, który jest uznanym za największego pijaka w dziedzinie zwierząt. Stuckenberg, który w Rosyi ściśle się zajmował badaniem natury niedźwiedzi, powiada: „Niedźwiedź jest zdecydowanym pijakiem, lecz upija się tylko zwyczajną wódką. Mojemu uczniowi pozwolono czasem w domach wieśniaków pić do woli, poczem zawsze okrutnie pijany, a gdy to było jeszcze możliwem, na tylnych nogach przybywał do domu“. Niedźwiedź więc należy do tego rodzaju pijaków, którzy w razie konieczności przez proste trzymanie ciała chcą zachować zewnętrzny przynajmniej pozór. Najbardziej po ludzku zachowują się przy tej okazyi jako i przy innych małpy. Brehm donosi jako naoczny świadek, jak pawian daje się zwabić przez mocne piwo z jagieł i potem pijany wpada w ręce łowców, aby nazajutrz oprócz boleści niewoli uczuć także wszystkie zgrozy bolu głowy — a Darwin powiada: „Wiele małp lubi kawę, herbatę, trunki rozpalające, a niektóre nawet chętnie palą tytoń“. Więcej nie można się od żadnego zwierzęcia spodziewać.

Chociaż te fakta są niezaprzeczalnemi, to jednak można twierdzić, że we wszystkich przypadkach nie chodzi o czysto naturalne stosunki, gdyż do alkoholu jako produkcyi sztucznej fermentacyi zwierzęta mają tylko przystęp przez obcowanie z ludźmi i przez nich go poznali. Jestto słusznem. Lecz szczególnej chętki, z jaką n p. europejskie psy i lisy rzucają się na dojrzałe winogrona, a wschodnio-indyjskie szakale na słodkie kwiecie drzewa „Monko“, nie można przypisywać ich zamiłowaniu do alkoholu, gdyż surowe winogrona lub kwiecie drzewa Monko nie zawierają wcale alkoholu. Z wszystkiego tego wynika tylko, że dziko żyjące zwierzę pod względem alkoholu znajduje się mniej więcej w położeniu człowieka, któryby rad cośkolwiek wypił, lecz niema potrzebnych 5 lub 10 centów; obydwaj bezwątpliwie są wstrzemięźliwcami, ale nie z instyktu lub wolnej woli, lecz przymusowo! Zwierzęta i w tak zwanym stanie naturalnym przyzwyczaiłyby się do alkoholu, gdyby zamiast wody miały mocne napoje.

Wiadomą jest rzeczą, że spirytus, chociaż jest najważniejszym, nie jest najgłówniejszym środkiem upojenia. Człowiek potrzebuje także napojów zawierających kafeinę (kawę, herbatę, kakao,) orzechy, gumu i jeszcze wiele innych substancyj roślinnych, których narkotyczny wpływ nie potrzebuje być rozwiniętym przez proces chemiczny. Do tych materyj roślinnych należą tytoń, „haszysz“, opium, koka, khat, muszary, siemię dziedzierzawy, itd. Lecz rośliny wydające te substancye mogą być spożyte przez zwierzęta bez pomocy ludzi; by się więc przekonać o pijaństwie zwierząt, potrzeba tylko zbadać, czy i jak umieją korzystać z tych środków pijaństwa.

Wypadek z moich młodych lat może służyć za wstęp do tego badania. Dzierżyłem niegdyś tymczasowo urząd gęsiarka, i wypełniałem moje obowiązki z całą gorliwością czyli raczej z całą niedbałością, jaką się najniżsi funkcyonaryusze przy drobiu odznaczają. Dlatego też się wydarzyło, że moje gęsi pewnego dnia popołudniu udały się na pole, na którem rósł mak, i nażarły się już doskonale, nim spostrzegłem, co się święci, i za pomocą psa ich z maku wyszczułem. Na tem się skończyła sprawa tym razem. Nazajutrz atoli miało mnie spotkać smutne i nieoczekiwane doświadczenie. Skoro bowiem zwyczajnym krokiem przyszliśmy na pastwisko, całe stado wzniosło się w powietrze z wielkim krzykiem, poleciało na pole makowe i poczęło żreć mak. Daremnie używałem wszystkich sił, aby je odpędzić; dały się rzucać, bić, lecz nie ustawały. Pełen strachu, gdyż w obec spustoszenia, jakie narobiły, wiedziałem, że mnie czeka porządna porcya łozów jak amen w kościele — począłem krzyczeć i przywołałem krzykiem robotnika, za którego pomocą zdołałem gęsi z pola spędzić. Ptaki te atoli i teraz się nie uspokoiły, lecz pogęgawszy przez niejaki czas pomiędzy sobą, uniosły się w powietrze i z przeraźliwym krzykiem całe stado poleciało wprost do wsi. „Do dyabła! Te bestye są pijane!“ zauważył mój pomocnik potrząsając głową. Nie wiem, co wtenczas myślałem o tem wyrażeniu — dzisiaj atoli jestem przekonany, że człowiek ten miał słuszność. Gęsi spożywszy mak upiły się, a poprzednie warunki okazują, że upicie nastąpiło rozmyślnie.

Mak niezawodnie pomiędzy wszystkiemi naturalnemi środkami upajania liczy najwięcej wielbicieli, nie tylko pomiędzy ptakami i zwierzętami czworonożnemi, przeciw którym w Indyach trzeba zabezpieczać się przez nadzwyczaj silne płoty, lecz nawet między owadami. Niektórzy z obecnych podróżników po Chinach donoszą, że pszczoły opuściły bogatą prowincyę Yinnan, która jeszcze kilka dziesiątek lat temu dostarczała wielką ilość wosku i miodu — i to od czasu, gdy przestano zajmować się tam uprawą maku. Prawdopodobnie mądre zwierzęta udały się za ulubioną rośliną — lub z powodu braku zwyczajnego ich środka upojenia zmarniały zupełnie. Trzeba mianowicie zauważyć, że roślina makowa wywołuje u zwierząt podobne skutki, jak opium u ludzi. Konie, bydlęta, świnie i owce chudnieją natychmiast, stają się chorobliwemi i zdychają nawet, gdy im się ujmie maku.

Innego środka do upajania dostarcza sałata ogrodowa i zresztą wszystkie rośliny laktukowe czyli sałaty. Chciwość z jaką gęsi, kaczki, kury i indyki rzucają się na te rośliny, jest niezawodnie wynikiem siły przyciągającej, jaką narkotyczny sok mleczny tych roślin na te zwierzęta wywiera. W większym jeszcze stopniu działa na gołębie anyż, którego eteryczny olej sprawia im przyjemne upojenie, podczas gdy się przyczynia do nagłej prawie śmierci u nerwowych papug.

Lecz świat zwierzęcy nie zadowalnia się upojeniem tylko za pomocą narkotycznych soków lub nasion; umie swą żądzę zaspokoić także w inny sposób, odpowiedni zupełnie naszym wciąganiom w siebie gazu upajającego lub eteru. Kto widzi, co kot dokazuje przed baldryanem, jak z rozkoszy przebiera nogami, jak pożądliwie patrzy, jak co chwilę garbi grzbiet, jak mruczy, aby następnej chwili z niezmierną szybkością z pół tuzina razy skoczyć przez roślinę — ten nie wątpi, iż kot jest upojonym, a ktoby chciał mieć dalszy dowód, ten niech usiłuje go odpędzić, a ujrzy, że wbrew swemu usposobieniu dopiero po kilkakrotnych groźbach ujdzie z tego miejsca. Upojenie to atoli jest prawdziwem upojeniem gazowem, to jest upojeniem wskutek wdychania owych nieskończenie drobnych części pary, która zawsze wychodzi z łodyg i liści baldryanu. Lecz jeszcze więcej. Tak jak kot postępuje wobec baldryanu i miętki, tak też czyni szczur nietylko wobec pary z opium lecz także (odnośnie do sprawozdania aptekarza Peckoltin'a w Rio de Janeiro) w obec śmiertelnych dla niego wyziewów prawdziwej brazylijskiej rośliny szczurowej (*Policura noxie* Mart.), której narkotyczna woń, podobna do woni rezedy, wprawia go w rodzaj zachwytu — który mu ostatecznie odbiera życie — tak jak upojenie eterem zamknęło już niejednemu nieostrożnemu furtkę życia na zawsze.

Te przykłady powinny wystarczyć, aby udowodnić, że przynajmniej część zwierząt znajduje przyjemność w upojeniu.

Potrzebaby jeszcze się przekonać, w jaki sposób pijacy w świecie zwierzęcym postępują, gdy się po upiciu znajdują w stanie, który Niemiec nazywa „Katzenjammer“. W literaturze wspomina o tem tylko Brehm, którego pawiany trzymały silnie bolącą głowę i nie chciały przyjąć ofiarowanego im piwa, lecz chętnie przyjmowały później ofiarowany im sok cytrynowy. Pies zaś (pudel), którego również obserwował, był wprawdzie także w tym stanie smutnym, lecz nie gardził piwem, zjadł cokolwiek mięsiwa, które mu dano, spał potem przez dwie godziny, choć przytem męczyły go sny, poczem był zdrów. Przy próbach z innemi zwierzętami spostrzegł, że tylko sen przyprowadza je do normalnego stanu. *C. P.*

KORESPONDENCYE.

Tatarynów w sierpniu 1893.

(Piją? czy nie piją?).

Od czasu do czasu powtarza się w zawodowej literaturze to nagłówkowe pytanie, posądzające cały ród sarni z anachroniczną naiwnością o jakieś całkiem odrębne fizyologiczne przymioty, a zdumiewającą jest rzeczą, iż pytanie to pochodzi z łona owego zielonego bractwa naszych zachodnich sąsiadów, którzy traktują łowiectwo ze skrupulatną pedanteryą, i wiele się przyczynili do rozświecenia ciemnych ścieżek leśnej przyrody.

W ostatnich czasach królewski leśniczy König z Wonnenbusch w okręgu Wrocławskim staje się przypadkowo owym szczęśliwym wybrańcem losu, któremu przypada w udziale „rozwiązanie“ dotychczasowej „zagadki (?) natury“. Oto dnia 7. stycznia r. b. (patrz „*St. Hubertus*“ powtórzone we Fricks Rundschau 1893. str. 412) jakiś widocznie badaniom przyrodniczym poświęcający się kundys zapędza koziołka do

jego ogrodu i w ten sposób staje się pośrednikiem w rozwiązaniu ciekawej zagadki. Koziołek bowiem zostaje ujęty, nakarmiony porządnie owsem i burakami, resztę dokłada sianem, a wreszcie, zapewne dla niezbędnej konkokcyi żołądkowej, pije z wielkim apetytem podaną mu wodę. Fakt ten doprowadza sprawozdawcę do szału radości, podobnego do tego, jaki niezawodnie odczuwał ś. p. Kopernik w chwili gdy poznał prawa systemu słonecznego, — rzuca się do pióra i nie pisze wprawdzie wielkiego dzieła o swej naukowej zdobyczy, ale zadawalnia się lakonicznem podaniem: *Das Thier löste die Streitfrage, wie es wohl zuverlässiger nicht geschehen konnte.*

Niewiadomo właściwie o co chodzi pomienionemu sprawozdawcy: czy zadziwia go w ogólności fakt, iż zwierzę najadłszy się ad libitum owsa i siana, odczuwało potrzebę napitku, czy wprowadza go w podziwienie nieszczęśliwy wybór materyału do ugaszenia pragnienia, wobec tylu innych szlachetniejszych surogatów, do których mogło sobie rościć słuszne pretensye przynajmniej jako ekwiwalent utraconej wolności?

Wybaczy mi sprawozdawca, że fakt przez niego podany wcale mi niczego nie udowadnia, a tem mniej służy do wyjaśnienia w mowie będącej kwestyi. Miarą gustów i potrzeby organicznej zwierząt na wolności żyjących, nie mogą być spostrzeżenia więzienne, gdzie ręka kultury wprowadza w grę odmienne czynniki; droga do poznania prawdy w tym kierunku nieco pewniejszego gruntu wymaga. Nie uwierzy mi zapewne sprawozdawca, iż gdyby koziołek po wyprawionym mu bankiecie nie okazywał potrzeby napitku, posądziłbym go o samobójcze myśli, bo przeżuwacz, wymagający co najmniej 1 : 3 substancyi suchej do wody, musiałby zginąć bez napitku przy karmie, która już z uwzględnieniem dodanych buraków zaledwo stosunek 1 : 1 przedstawiać mogła. Każde zwierzę wymagać będzie tyle wody, ile jej potrzeba do wytworzenia odpowiedniego organizmowi stosunku w karmie. Minimalna granica nie może być bez szkody dla organizmu przekroczona, nadwyżka zaś wody usuwa się zbyt rychło z ciała najrozmaitszemi drogami.

Nie wstępując jeszcze na pole praktyki i bezpośrednich spostrzeżeń, gdyż rezerwuje sobie to na koniec, wypowiem tu na gruncie czysto teoretycznym, iż sarna tak samo jak wszystkie inne twory boże pożądać będzie wody we wszystkich wypadkach, gdy procentowa zawartość wody w karmie spadnie niżej, jak tego organizm niezbędnie wymaga.

Najwyższy stosunek substancyi suchej do wody w karmie znoszą owce; zwierzęta te prastarej kultury, zbliżone fizyologicznie do rodu sarn, zadawalniają się stosunkiem 1 : 3 (Badania Colina *Morphologie der Säugethiere Wilkens* p. 531). Stosunek ten w normalnym stanie rzeczy znajduje się co najmniej w paszy naturalnej w chwili kwitnienia traw, minimalna bowiem zawartość wody w tej epoce u różnych traw, jakie się na ruń pastwiskową składają, wynosi 60—80%. To też w porze tej zwykle owce wcale nie piją a odczuwają dopiero potrzebę napitku, gdy wskutek długotrwałej posuchy lub zamierającej wegetacyi w porze jesiennej procentowa zawartość wody opadnie. Fizyologiczne te cechy rodu pokrewnego mogłyby przez analogię dać już niejakie wskazówki, w jakiej porze i w jakiej ilości sarny napitku wymagać będą, ale naprowadzając te analogiczne dedukcye wiele wagi do tej gadaniny nie przykładam, pamiętny, na jakie to bezdroża wnioski analogiczne zaprowadzić mogą.

Porównawszy skład natnralnej karmy sarn z potrzebą prawdopodobną ich ustroju, przychodzimy niemal do przekonania, iż istnieją nieraz długie peryody czasu, w których się sarny bez wód otwartych w lesie obejść mogą, niemniej jednak jest prawdopodobną chwila, w której brak wód otwartych najzgubniej może oddziałać na zwierzostan. Gdy mianowicie z końcem lipca sucha substancya w liściu podniesie się na 50%, gdy żarem słonecznym spalona wegetacya traw również do podobnego dojdzie stosunku, gdy na długi czas odmówią rosy niebiosa, a soczyste zioła zwarzy suchy podmuch z adryatyckich kontynentów — wtenczas wysączyły się ostatnie źródełka, a zwierzostan sarn cierpi w braku wody, podpada charłactwu i marnieje.

Tyle słów teoretycznej gimnastyki, zanim przejdę do prawd stwierdzonych doświadczeniem.

Gdy szczęśliwy przypadek nie doprowadzi bez trudów do rozwiązania zagadki, to umiarkowana doza cierpliwości i wytrwałości może znaleść nagrodę. Przy jakimkolwiek zbiorniku wody w lesie lub na polu, przy potoczku, rowie i t. p. zatrzyma się sarna lub cała czeredka tych zwierząt, zwłaszcza gdy poprzednio kilkakrotnie doszedł ich „łyżek“ (uszu) udatny „mikot“ (wab) z tej strony i wtenczas częstokroć, a mianowicie w porze, gdy inne wody po lasach powysychały, dojrzeć można pojedyncze zwierzęta pijące wodę. Czynią to z wielkiem namaszczeniem, powoli, z przestankami, za każdem schyleniem głowy dotykają powierzchni wody nieznacznie pyskiem i pociągają ją z pewnem, nieraz daleko donośnem chleptaniem, podobnie jakto czynią oduczone od ssania cielęta. Picie takie powtarza się z przerwami 2—3 razy a w przerwach wznosi zwierz głowę i przegląda ciekawie całe otoczenie.

W porze biegania się sarn byłem pokilkakroć świadkiem ciekawego widoku. Deszcz lał jak z cebra, chlustała woda pod nogami, z każdego drzewa spadały istne sznureczki wody, a linie i drogi lasowe świeciły z dala całem pasmem kałuż. Wody było wszędzie podostatkiem. Widok porastających w polu kóp pokierował me kroki do pobliskiego lasu; chciałem tam zapomnieć o niedoli ziemiańskiej. Idąc gęstą świerczyną ku drodze, przerzynającej las, usłyszałem w oddali po drugiej stronie drogi kilkakrotnie powtarzany pisk siuty, a wyjrzawszy ze świerczyny na drogę, ujrzałem o jakie 40 kroków stojącą na drodze sarnę. Widocznie była mocno zmęczoną, robiła bokami, po chwili zaczęła przechadzać się wzdłuż rowu przy drodze, oddaliła się jeszcze o jakie 20 kroków, i w miejscu najwygodniejszem poczęła w opisany już sposób pić wodę z rowu aż po brzegi wypełnionego. Picie to wraz z przestankami trwać mogło mniej więcej pół minuty, poczem raptownym skokiem zniknęła mi z oczu w gęstwinie lasu po tej stronie drogi, po której i ja stałem. Widocznie zatem, iż zwiększone pragnienie wywołane tu zostało wyjątkowym stanem, w jakim się zwierzę o tej porze znachodzi. Silny popęd, ruch forsowny prowadzą do silniejszej wymiany tworzywa, w skutek czego bardziej potrzeba obfitego napitku odczuwać się daje.

W jesieni r. 1891 zapanowała długotrwała posucha, najobfitsze zazwyczaj studnie po folwarkach i wsiach okolicznych powysychały, po wodzie piliśmy jakąś strasznej barwy i woni wilgoć, a wreszcie i to ustało; trzeba było posełać po wodę do rzeki oddalonej i poić się tym wprawdzie dość czystym, ale mało co od temperatury krwi różniącym się nektarem. Nie potrzebuję dodawać, że w takim stanie rzeczy jedyną wodą otwartą w całej okolicy była rzeka, jedynem źródłem ugaszenia pragnienia dla wszystkiego, co na tym pasku ziemi żyje.

Pod wieczór — nie pomnę już dnia — siedziałem w gąszczy przybrzeżnej ukryty. Ścięte przez komary i opu-

chłe ręce trzymały gotową do strzału rusznicę. Wyczekiwałem zapadania w tem miejscu krzyżówek, jak to się już przez kilka wieczorów powtarzało, jednak napróżno; kaczki nie chciały się pokazać. Równocześnie po niedalekim zrębie przechadzało się kilka sarn, wyskoczyły wreszcie na łączkę pod lasem, poskubały tam co nie co, cofnęły się w las i pod ochroną zarośli zbliżyły się wreszcie do rzeki i poczęły naprzemian pić wodę. Było ich cztery sztuki rozmaitej wielkości, same siuty.

Nie mogę spostrzeżeń tu podanych poprzeć prawnym dowodem, nie mam świadków, bo ta cała złaja innym językiem mówiących, nawet rygorom prawniczym nieposłusznych stworzeń, która wspólnie ze mną patrzała na tę scenę natury, zdawała się nie bardzo nią zajęta; komary cięły mnie jak przedtem do żywego, całkiem zwykle świerkało stado szpaków w zaroślach, ba! nawet i ciekawska sroczka brzechała całkiem pospolicie, nie wydając wobec tego co się tam działo, najmniejszego głosu zdziwienia.

Słońce już ostatnie przesyłało blaski, wierzchołki drzew złotem drgały światłem, w fioletowych cieniach lasu zginęła czeredka sarn. Kilka turkawek, gołębi, sojek, przyleciało na brzeg wody, jednak po chwili wszystko znikło w ciemnej głębi lasu i tylko jaśniała jeszcze długo blaskami nieba oświecona rzeka. Oddalony kwak kaczek dolatywał mnie w zmroku wieczornym, lecz żadna na strzał nie nadlatywała; widocznie zostałem w mej pozycyi zdradzony. Musiałem tedy jak niepyszny wyleźć z krzaków, a utrzymując gradualną różnicę, dzielącą nas od świata przeróżnych bestyj, ściągnąłem rękę po ukrytą w kieszeni płaską manierkę — na dobranoc. *Władysław Spausta.*

Maczugi, 19 sierpnia 1893

(Przywary kozła).

W miesiącach lipcu i sierpniu zdarzyło mi się w ciągu kilku lat znaleść dwoje nieżywych sarniąt bez oznak chorobliwych lub śladu zagryzienia przez zwierzęta drapieżne. Raz znalazłem koźle nieżywe z wybitem jednem okiem, drugi raz z złamanym krzyżem pacierzowym — zresztą w obu razach nietknięte i dobrze odżywione.

Choć niezbyt częste — były te wypadki przynajmniej dla mnie zupełnie niejasne i zagadkowe.

W tym roku przypadek posłużył mi do wejścia na trop. W końcu lipca b. r a więc w czasie rui, zwiedzając las, spotkałem rogacza szóstaka, uganiającego uparcie za kozą, której towarzyszyło małe koźlę.

W następnym dniu rano obserwowałem jeszcze tę samą trójkę, lecz koźlę osłabione z tyłu się wlokło, a na trzeci dzień już tylko samą kozę i rogacza; młodego brakło.

Zniknięcie tego sarnięcia i znachodzone dawniej uznałem bez namysłu za ofiary miłosnych awantur kozła. Nie ulega wątpliwości, że rogacz zaślepiony namiętnością dopatruje w koźlęciu rywala lub przeszkodę i łatwo je jednem uderzeniem swojej pysznej korony kaleczy lub zabija.

Przytoczę tu świadectwo gajowego.

Tutejszy ze wszechmiar prawdomowny gajowy, Jędrzej Sotkowy, opowiadał mi, że widział przed ki.ku laty w lasach „Pełkińskich“ kozła, tratującego rogami i cewkami młode sarnię. Obserwował on następnie, że kozioł aż kilka razy powracał do swej ofiary, jakby dla przekonania się, czy niema w niej jeszcze bodaj odbrobiny życia i powtarzał masakrowanie. Gajowy, zdjęty zdziwieniem pospieszył za późno sarnięciu w obronie i nieżywe odniósł nadleśniczemu.

Możliwość częstego powtarzania się podobnych jak wzmiankowane wybryków kozła w czasie rui należy mu słusznie zapisać na karb przywar, zasługujących na karę śmierci gdy spełni już swą rolę w celu utrzymania rodu.

Przy podjeździe na rogacze przez hr. Stefana Zamoyskiego ubito dnia 7 lipca 1893 rogacza z wątrobą, zajętą przez motylice. Klęska ta w tym, jak dotąd, niezwykle mokrym roku, zdaje się zagrażać na szersze rozmiary zwierzostanowi sarn. *Fr. Wowkonowicz.*

KRONIKA.

Piękny strzał. Z Rozalina pod Majdanem donoszą nam, iż dnia 7. lipca wieczorem, przy podjeździe na rogacze, ubił hr. Zdzisław Tarnowski pięknego szóstaka na odległość 70 kroków strzałem z pistoletu. Kula przeszła pod lewem uchem przez kark na wylot i rogacz został na miejscu.

Wyścigowy lot gołębi pocztowych odbył się d. 14. sierpnia między Budapesztem a Przemyślem. Gołębie, w liczbie 146, chowane w Budapeszcie wypuszczono z Przemyśla o godzinie 6 min. 15 z rana. Pomimo niesprzyjającej pogody, wszystkie odrazu ruszyły w drogę ku Karpatom, gęstemi mgłami osłoniętym. Pierwszy gołąb, będący własnością dr. Ludwika Dirnera w Budapeszcie, przybył do stolicy Węgier zupełnie przemokły o godz. 2 min. 45 popołudniu. Przebył więc drogę 563 kilometrów (w promieniu prostym) czyli około 80 mil w 8 godzinach i 30 minutach. O godzinie 3 min. 15 przybyły równocześnie cztery gołębie hodowcy Geza Gasparetza, a następnie co kilka minut przybywały dalsze. Do 8-ej wieczór wróciło do Budapesztu ogółem 50 gołębi.

Hagenbeck. W Hamburgu zmarł założyciel głośnej w całym świecie firmy handlu dzikiemi zwierzętami, Karol Hagenbeck, zaliczany powszechnie do patrycyuszów tego niegdyś hanzeatyckiego miasta. Cieszył on się tam nadzwyczajną popularnością i wszędzie, gdzie się pokazał, zwano go powszechnie: „papą Hagenbeck“. Nikt, nawet służba i posłańcy publiczni, nie tytułowali go inaczej. Ciekawem jest, iż milionowy dziś handel swój, jak sam nieraz opowiadał, rozpoczął z jednym jedynym psem morskim. Z tego skromnego początku powstała firma, importująca dziś dzikie zwierzęta do Europy ze wszystkich części świata i skupiająca ten handel w swych rękach prawie wyłącznie. Zasila ona wszystkie ogrody zoologiczne, menażerye i cyrki swemi okazami. Na dowód, iż handel ów nie jest bagatelą, wystarczy nadmienić, że Hagenbeck w roku ubiegłym puścił w świat 200 słoniów, 150 panter, 70 lwów, 80 strusiów, 300 żyraf, 1.300 najrozmaitszych gadów i 40.000 egzotycznego ptactwa. Wszystkie menażerye i ogrody zoologiczne musiały się u Hagenbecka zaopatrywać w swoje okazy. Firma po sędziwym założycielu przechodzi na rzecz jego syna, także Karola (49-letniego) i córki Krystyny. Na pogrzeb „papy Hagenbecka“ wyległ cały Hamburg.

Wściekły wilk. W powiecie rylskim w Kurskiej gubernii grasował okropnie w pierwszych dniach sierpnia wściekły wilk. W ciągu jednego dnia pokąsał 50 osób, a w tej liczbie 45 dzieci. Wpadł rano do wsi Asmałowej, a pokąsawszy tu kilka osób, puścił się do wsi następnych, leżących w sąsiedztwie. Siedm wsi przebiegł w pięć godzin, a po drodze kąsał każdego kogo napotkał.

Pokąsanych wysłano do stacyi bakteryologicznej w Charkowie. Pierwsza partya składała się z 27 dzieci i 4 kobiet, druga, wysłana w dniu 5 sierpnia, z 22 osób. Jedno dziecko wilk zagryzł na śmierć, a wszystkie są okropnie poranione. Cała ludność miasta zbiegła się, gdy przywożono nieszczęśliwych. Głowę wilka posłano także do Charkowa.

Oto szczegóły tego okropnego wypadku: Rano dnia 2. sierpnia pastuch Prokop Andrejkin, 35-letni mężczyzna, pasąc stado krów w lesie, w pobliżu wsi Asmołowej, zauważył biegnącego naprzeciw siebie wilka, z wyglądu niewielkiego i bardzo podobnego do psa. Nie podejrzywając, że wilk jest wściekłym, Andrejkin uderzył go kijem po grzbiecie. Wilk upadł, lecz w jednej chwili skoczywszy na równe

nogi, rzucił się na pastucha, nie robiąc mu wszakże żadnej szkody. W tej chwili jednak, przebiegłszy dokoła jeziora i pokąsawszy po drodze krowę, rzucił się ponownie na Andrejkina i wpił zębami w jego lewą rękę. Odpędziwszy jako tako wilka, Andrejkin pobiegł do jeziora, opłukał rany, a wilk tymczasem popędził ku wsi Asmołowej i tu pokąsał 10-letniego pomocnika Andrejkina w głowę i twarz; rozćwiartował potem dwa psy, rozszarpał całe stado gęsi i w końcu wpadł do wsi, w której podówczas, z powodu robót polnych, oprócz starców i małych dzieci, bawiących się na ulicy, nie było nikogo.

Tu, w przeciągu paru minut, wilk pokąsał 12 dzieci, a pierwsze dziecko, które dostało mu się na zęby, zostało całe porozrywane na najdrobniejsze kawałeczki. Według słów patrzącej na tę scenę okropną staruszki, wilk póty pastwił się nad dzieckiem, póty rwał jego ciało, póki widocznem było choć w jednym okrwawionym członku, choć w jednym muskule, tętno życia. Inne dzieci zostały poranione również w sposób okropny, przeważnie w twarz i głowę.

W dalszym ciągu wilk popędził do wsi sąsiednich. W jednem miejscu napadł na kobietę, czerpiącą wodę ze studni, i poszarpał jej odzież, dziwnym trafem nie wyrządzając jej żadnych obrażeń na ciele; w innej znowuż wsi rzucił się na piersi przechodzącego nad brzegiem rzeki włościanina z taką siłą, że biedak wpadł do wody. W przybliżeniu, wilk przebiegł jeszcze około 35 wiorst, póki nareszcie nie został zabitym przez rządcę jednej z wsi, który, jadąc z fuzyą, nabitą śrutem, wpakował mu dwa strzały w łeb.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Kopernika 30.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.